

PORADNIK

JEZYKOWY

PAŃSTWOWE WYDAWNICTWO NAUKOWE

Warszawa 1970



(202)

Redaktor i przewodniczący Komitetu Redakcyjnego:
prof. dr Witold Doroszewski
Zastępca redaktora: doc. dr Mieczysław Szymczak

KOMITET REDAKCYJNY

Dr Barbara Falińska, doc. dr Hubert Górniewicz (Gdańsk), doc. dr Halina Kurkowska,
dr Zofia Mianowska, doc. dr Leszek Moszyński (Toruń), dr Wanda Pomianowska,
doc. dr Andrzej Sieczkowski, prof. dr Stanisław Skorupka, prof. dr Zdzisław Stieber,
mgr Alicja Szlązakowa, prof. dr Witold Taszycki (Kraków)

Sekretarz Redakcji:
mgr Magdalena Foland

TREŚĆ NUMERU

Witold Doroszewski: Funkcja poznawcza języka w jej projekcjach społecznych. VI. Pożegnanie z „psychologizmem” i perspektywy nowych syntez w poznawaniu językowej działalności człowieka	425 433
Stanisław Rospond: Jeszcze w sprawie nazwiska Kopernika	436
Mikołaj Piliński: Ukraińska „Eneida” Iwana Kotlarewskiego w 200-lecie urodzin poety (1769—1969)	443
Olgiere Adrian Wojtasiewicz: O tzw. operatorach pragmatycznych	446
Zygmunt Brocki: Paralele semantyczne: słow. kučmar «cystophora cristata», pol. kapturzak kapturnik, niem. Klappmütze Mützenrobbe «ts»	449
Krystyna Krycińska: Kilka uwag o definicjach w dwujęzycznym słowniku Mączyńskiego	459
Zygmunt Saloni: O przenoszeniu wyrazów	468
Jan Miodek: Kamerować i kamerowany	468
Eugeniusz Stuszkiewicz: Hokus-pokus	471
Z DZISIEJSZYCH GWAR MAŁOPOLSKI	
Piotr Bąk: Teksty gwarowe z Pątnowa Wieluńskiego. Uo Twardoskim	473
RECENZJE	
Jerzy Podracki: Zenon Klemensiewicz — Studia syntaktyczne, cz. 2	476
Zbigniew Kościelak: J. Wójtowicz, L. Szukutnik — Gramatyka polska w dia- logach (skrypt dla cudzoziemców). J. Wójtowicz — Policz to po polsku. Odmiana polskiego liczebnika w dialogach	479
Digamma: Kilka uwag o redakcji stylistyczno-językowej pewnej powieści. S. R. Dobrowolski — Głupia sprawa	483
POŁOW PERELEK — OB.SERWATOR	484
CO PISZA O JĘZYKU? — A.S.	488
OBJAŚNIENIA WYRAZÓW I ZWROTÓW — W.D.	

Komunikatem nr 142 (PR4-552-29/68) ogłoszonym w Dzienniku Urzędowym Minister-
stwa Oświaty i Szkolnictwa Wyższego z dnia 31 grudnia 1968 r. „Poradnik Językowy”
polecony został jako pismo, które powinno się znaleźć w każdej bibliotece szkolnej
i pedagogicznej.

Wydawca: Państwowe Wydawnictwo Naukowe. Warszawa ul. Miodowa 10
Redakcja: Warszawa, ul. Nowy Świat 72, Pałac Staszica, tel. 26-52-31 wewn. 90

Nakład 2870 (2507+163). Ark. wyd. 5,5. Ark. druk. 4,5. Papier druk. sat. kl. V. 65 g 70X100.
Oddano do składu 16.VI.1970. Podpisano do drugu 15.VIII.1970. Zam. 1052/70. K-59. Cena zł 6.—

Drukarnia im. Rewolucji Październikowej w Warszawie

PORADNIK JĘZYKOWY

MIESIĘCZNIK

(założony w r. 1901 przez Romana Zawilińskiego)

Witold Doroszewski

FUNKCJA POZNAWCZA JĘZYKA W JEJ PROJEKCJACH SPOŁECZNYCH

VI. POŻEGNANIE Z „PSYCHOLOGIZMEM” I PERSPEKTYWY NOWYCH SYNTEZ W POZNAWANIU JĘZYKOWEJ DZIAŁALNOŚCI CZŁOWIEKA

Zagadnienie „maszyn myślących” jest dziś zagadnieniem bardzo aktualnym. Mocne przeżywanie aktualności zagadnienia może czasem utrudniać jasne widzenie jego istotnej treści i jego historycznej wagi. Z tego, poza jakie granice nie będzie mogła wyjść w swoim funkcjonowaniu maszyna, zdawał sobie dobrze sprawę Kartezjusz, który tej kwestii poświęcał część swego myślowego trudu. Pisał on między innymi o maszynach: „choćby one robiły pewne rzeczy równie dobrze albo nawet i lepiej niż ktokolwiek z nas, sprawiałyby nieuchronnie zawód w stosunku do niektórych innych, skutkiem czego wychodziłoby na jaw, że one działają nie pod wpływem świadomości, ale tylko dzięki dyspozycji swoich narządów, albowiem o ile rozum jest instrumentem uniwersalnym, który może służyć we wszelkich sytuacjach, o tyle te narządy wymagają oddzielnej dyspozycji dla każdej oddzielnej czynności”.

Przytoczone zdanie jest wyrazem opinii nie tego Kartezjusza, który pisał o duszy, że jest ona „tej natury, że nie pozostaje w żadnym stosunku ani do rozciągłości, ani do wymiarów, ani też innych właściwości materii, z której składa się ciało”, ale tego Kartezjusza, którego geniusz był historycznie twórcą, co przyznał mu Pawłow, pojęcia odruchu (refleksu). Uniwersalność rozumu jako instrumentu nie może się tłumaczyć inaczej jak tylko tak, że rozum żywej istoty ludzkiej jest zdolny do reagowania na każdy bodziec zewnętrzny, a nie tylko na takie bodźce, które są z góry zaprogramowane w jego pamięci i mają jedne względem drugich charakter dyferencyjny, to znaczy rozpoznawane są po tym, że jedne różnią się od drugich wewnątrz danego systemu, a nie przez odniesienie do elementów rzeczywistości zewnętrznej, pozajęzykowej. W taki sposób rzecz pojmował de Saussure, który dawał temu wyraz w znanej tezie:

„dans la langue il n'y a que des différences, sans termes positifs” — w języku są tylko różnice, bez pozytywnych (w tym kontekście tyle co: zewnętrznych, pozajęzykowych) punktów oparcia. Bliższy ujęciu Kartezjusza, choć najpewniej niezależnie od niego, był Baudouin de Courtenay, który w jednej ze swych prac określił język jako „uniwersalny refleks ducha na podniety świata”. Wystarczy zamiast słów *rozum*, *duch*, użyć słowa o treści konkretnej *mózg*, żeby się znaleźć w kręgu zagadnień, w którym się dziś spotykają przedstawiciele dyscyplin różnych, ale połączonych tym, że ich wspólnym przedmiotem zainteresowania jest człowiek, a więc takich jak językoznawstwo, biologia, neurologia, psychologia, socjologia, antropologia.

W poprzednim artykule zastanawiałem się nad budową i treścią wyrazu *świadomość*. Ten sam schemat analizy można zastosować do terminów, za pomocą których charakteryzuje się najbardziej podstawowe cechy każdego żywego organizmu, a mianowicie do terminów *reaktywność* i *plastyczność*. Każdy z tych terminów (tak samo jak termin *świadomość*) oznacza nie określony podmiot, ale potencjalną cechę określonego podmiotu; jeżeli orzekamy o organizmie, że się odznacza reaktywnością, to chcemy przez to powiedzieć, że jest on zdolny do reagowania, inaczej, że zdolność reagowania jest jego cechą potencjalną. Pojęcie podmiotu tej zdolności, a więc samego organizmu, jest poza nawiasem struktury znaczeniowej wyrazu *reaktywność*, tak samo jak w wypadku *plastyczność*, która oznacza cechę polegającą na zdolności organizmu do modyfikowania swoich reakcji na działanie powtarzających się bodźców w zależności od nabywanego doświadczenia. Pozostawiając na razie na boku pytanie, w treści swej bardzo istotne: jak mamy rozumieć pojęcie podmiotu, gdy mówimy o organizmie jako o podmiocie reagującym na bodźce, możemy poprzestać na stwierdzeniu, że cechą organizmu najważniejszą, tą, która mu zapewnia istnienie i panowanie nad sobą i nad okolicznościami, w których istnieje, jest zdolność do dynamicznej adaptacji do bodźców środowiska (sytuacyjnych). Otóż jeżeli tylko organizm (to znaczy jednostka, indywiduum) nie jest zdolny do tego, żeby się dynamicznie równoważyć z bodźcami środowiska, żeby reagować na bodźce każdej nowej sytuacji w sposób w stosunku do tych bodźców adekwatny, a więc w sposób celowy, opanowany, w zakresie całego swego zachowania się, co oczywiście obejmuje zachowanie się językowe, to pozbawiony tej zdolności organizm z konieczności popada w konflikty życiowe, szkodliwe dla siebie a często i dla otoczenia. Obserwacja codziennego życia dostarcza nam wielu przykładów tego; w polu obserwacji językoznawcy, zwłaszcza takiego, który do zadań swojej nauki włącza momenty społeczno-pedagogiczne, fakty takie ukazują się bardzo często.

Miałem pewnego razu sposobność — wolałbym szczerze mówiąc, żeby mnie ta sposobność ominęła — wysłuchania naukowego referatu na tematy interesujące w zasadzie wszystkich nas, dotyczące projektowania

ważnych spraw na przyszłość. Jedyłą, ale chyba tylko dla gramatyka — zaletą tego referatu było to, że były w nim zachowane formy zgody obowiązujące w języku polskim, to znaczy, że wyrazy określające z określonymi poprawnie się łączyły pod względem rodzaju, liczb, przypadków. Ale poprawne (gramatycznie) funkcjonowanie systemu językowego to nie jest najważniejsze osiągnięcie człowieka posługującego się językiem. Otrzymałem kiedyś list, którego autorka zwracała się do mnie z prośbą o roztoczenie opieki nad osobą zagrożoną w jej mniemaniu niebezpieczeństwem ze strony mafii czyhającej na życie tej osoby. List robił smutne wrażenie, bo widać było z jego treści, że autorka jest osobą chorą, cierpiącą na urojenia prześladowcze. Odpisałem, że znając sytuację mogę zapewnić autorkę listu, że nie ma powodu do obaw, ale że w razie potrzeby gotów będę oczywiście pomóc. Tym, co mnie w tym liście uderzyło, był fakt, że mechanizm funkcjonowania wyższych ośrodków mowy nie wykazywał żadnych defektów; zdania były zbudowane poprawnie, wnioski logicznie wynikały z przesłanek, odchylenie od normy polegało nie na rozregulowaniu form językowych, czyli relacji wewnątrzsystemowych, ale na braku realnych punktów oparcia dla wszystkich wywodów, dla całego toku myśli chorej. Życiowa ważność sprawnego posługiwania się językiem polega nie na nabyciu umiejętności wiązania słów ze słowami, ale na tym, żeby zawsze umieć — przypominając Norwida — „odpowiednie dać rzeczy słowo”. Można by było powiedzieć, że wrogiem numer jeden językoznawstwa jest to, co stanowi przedmiot badania tej nauki, a mianowicie słowa — w tym stopniu, w jakim są objawami niepanowania nad bodźcami wewnątrzpochodnymi, zakłóceń we właściwym funkcjonowaniu schematu S(stimulus) — R(eactio). Referatu, o którym poprzednio wspomniałem, słuchałem w ciągu godziny i uświadomiłem sobie potem, że nie umiałbym streścić nawet jego fragmentów. Referat składał się z szablonów wyrazowych, które przytłaczały swoim ciężarem umysł referenta, tłumili jego, trzeba mieć nadzieję, że jednak w nim tkwiący, zdrowy rozsądek, deformowały zdania przeładowane ponad miarę potrzeby rzeczownikami odsłownymi na *-anie, -enie, -cie*.

Każdy z nas doznaje takich wrażeń niestety często; w przemówieniach, w rozmowach słowa zazębiają się jedno o drugie, tworzą ciągi odrywające się od konkretnych sytuacji. Objawy takie w swych najjaśniejszych postaciach noszą techniczną nazwę *logorei*, czyli słowotoku.

Dość głęboko zakorzenione jest w ludziach przekonanie, że dziedzina słów to dziedzina zawieszona w próżni nad światem rzeczy i tradycja tego dualizmu jest jednym ze źródeł mętu myślowego. Słowotokowi elokwencji może oczywiście ulegać zarówno ten, kto żywiołowo kontynuuje tradycje dualizmu, jak i teoretycznie konsekwentny monista, w pewnych perspektywach historycznych warto się jednak rozejrzeć.

Kierunkiem myślowym, który wywarł najsilniejszy wpływ na koncepcję ogólną językoznawstwa w końcu XIX wieku był psychologizm.

Jego treść podstawową stanowi przeświadczenie, że fakty językowe są realizacjami sił biorących swój początek w pozaprzestrzennie pojmowanych duszach ludzkich, a nie w otaczającym świecie i że prawa rządzące życiem języka są prawami psychicznymi działającymi w sferze odrębnej od rzeczywistości zewnętrznej i autonomicznej w stosunku do niej. Z tej tradycji wywodzą się i dziś przez niektórych językoznawców głoszone postulaty programowego dążenia do tego, żeby zapewnić językoznawstwu autonomiczność w stosunku do wszelkich innych nauk. Wyrazem takiej postawy jest między innymi pojmowanie języka jako systemu znaków rządzonego immanentnymi prawami. Koncepcja języka jako systemu elementów samoregulujących się niezależnie od działania bodźców pochodzących z zewnątrz tego systemu byłaby sprzeczna z tym, o czym wspominałem na początku niniejszego artykułu, a mianowicie z pojęciem języka, jako zachowania się człowieka reagującego na bezwarunkowe i warunkowe bodźce środowiskowe, to znaczy sprzeczna z tym, co w niektórych rzutach swojej myśli widział już Kartezjusz. Tradycja sprowadzania czynników sprawczych ewolucji języka do „binarnych opozycji” elementów systemu językowego, czyli traktowanie historii języka jako historii samoregulowania się elementów językowych, jest w językoznawstwie zakorzeniona bardzo mocno. Jej refleksem jest właściwie nawet sam tytuł znanej książki Rozwadowskiego „Semazjologia, czyli nauka o rozwoju znaczeń wyrazów”. Rozwojem znaczeń wyrazów nie rządzą prawa dające się wydedukować z immanentnej analizy systemu językowego. *Rozwój* wiąże się etymologicznie z *rozwijaniem* się: znaczenia wyrazów nie „rozwijają się”, nie rozkręcają samorzutnie jak spirala, o której układaniu się w kręgi rozstrzygałby jakiś wewnętrzny uruchamiający ją mechanizm. Wszelkie fakty językowe są wtórnymi objawami „werbalizowania się” doznań i czuć dokonującego się w mózgu, to znaczy polegają na tym, że doznania i czucia kojarzą się na podstawie działania mechanizmu odruchów warunkowych z kompleksami artykulacyjno-słuchowymi. W mechanizmie odruchów warunkowych tkwi nie tylko geneza „werbalizowania się” czuć i doznań, kształtowania się stereotypów wyrazowych, ale ten mechanizm działa w języku nieustannie, każda wypowiedź jest aktem opartym na schemacie S(timulus) — R(eactio), co stwierdzając rozumiemy oczywiście, że R, czyli każdorazowa reakcja, nie jest przez S (bodziec) determinowana mechanicznie, bo o formie reakcji rozstrzyga apercpcja jako w tym wypadku jeden z objawów plastyczności organizmu ludzkiego i jego zdolności do działania pod wpływem wzbogacania się doświadczenia. Schemat S—R nie może pasować do maszyny, ponieważ jej reaktywność jest ograniczona do tych tylko bodźców, które są z góry zaprogramowane w jej pamięci.

Maszyną, ale maszyną mającą cechę reaktywności, czyli zdolności do reagowania na każdy nowy, dotychczas nie znany jej bodziec, jest organizm żywego człowieka. Prócz tego, że życie jego polega na nieustan-

nych związkach ze środowiskiem, ma on pewien ograniczony zakres autonomiczności zwanej *homeostazą*, przez który to termin rozumiemy zdolność organizmu do utrzymywania względnie stałego stanu równowagi. Na przykład temperatura ciała człowieka nie zmienia się w zależności od temperatury otoczenia: latem czy zimą, w upał czy mróz jest ona u zdrowego człowieka poniżej 37 stopni. Ta autonomiczność jednostkowego organizmu ma jednak zakres bardzo ograniczony, bo na ogół zachowania się człowieka nie można wyłączyć z zakresu oznaczanego symbolem S — R, który mówiąc najogólniej można rozumieć jako symbol kontaktów „ja” (R) i „nie-ja” (S).

Przedmiotem badania nauk interesujących się człowiekiem i wszelkimi formami jego działania (językoznawstwo bada formy jego działania językowego) nie jest człowiek jako nosiciel nieprzestrzennej duszy (p. wyżej definicję Kartezjusza) pochodzącej z zaświatów i tam jako do swojej właściwej ojczyzny mającej powrócić, duszy rządzonej immanentnymi prawami psychicznymi działającymi w sferze jakościowo odrębnej od rzeczywistości postrzeganej zmysłami, ale człowiek jako istota w każdej chwili swego życia pozostająca w najściślejszych związkach ze swoim środowiskiem i której życie, mówiąc jeszcze ściślej, polega właśnie na tych związkach. W obecnej fazie rozwoju nauk o człowieku (psychologię np. definiuje prof. Tomaszewski „jako jedną z nauk o regulacji wzajemnych stosunków organizmów żywych z ich otoczeniem”) wygłaszanie takiej tezy jest wygłaszaniem truizmu, ale nie jest pozbawione celu propagowanie truizmów, czyli prawd oczywistych, jeżeli te prawdy oczywiste nie są w powszechnym obiegu, nie są powszechnie uznawane za takie, jeżeli nawet, wprost przeciwnie, w atmosferze umysłowej epoki nie przestają zapalać się to tu, to tam błędne ogniki pociągające swoim światłem wzrok ludzi nie wdrożonych do rzeczowego myślenia, goniących za majakami własnej wyobraźni. Rozwój nauk specjalnych od wyobraźni takich ludzi nie zależy, lepiej jest jednak, jeżeli w ogólnej atmosferze umysłowej społeczeństwa dominują pierwiastki racjonalnej myśli, bo to pozwala jednostkom myślącym i pragnącym rozumieć świat przewycięzać wewnętrzne opory i ułatwiać zrzeszanie się ludzi pod hasłem pracy naukowej mającej służyć dobru społeczeństwa. Błędne ogniki swoim ludzającym blaskiem odwracające uwagę od rzeczy istotnych powinny gasnąć wobec szukającej prawdy myśli naukowej i zdrowego rozsądku, spontanicznie trafnej orientacji w świecie. Czym innym niż błędnym ognikiem są takie na przykład refleksje o sztuce wypowiedziane przez Przybyszewskiego (mało już zresztą dzisiaj czytanego) w dziele wydanym w Poznaniu w roku 1920 pod charakterystycznym tytułem „Szlakiem duszy polskiej”: „Zapoznano zupełnie istotę sztuki jako nici łączącej człowieka z boskim pierwiastkiem, nie chciano nawet o tym słyszeć, że sztuka jest niczym więcej, jak tylko wizyjną anamnezą przedby-

towego istnienia, że głównym jej zadaniem to szukanie dróg do utraconego raju, przenikanie ciemnych tajemnic pozaświatowego bytu”.

Czy kiedy czytamy wiersz Mickiewicza:

„Tam, kiedy nocną przybliżysz się dołą
I zwrócisz ku wodom lice,
Gwiazdy nad tobą i gwiazdy pod tobą
I dwa obaczysz księżycę”,

reagujemy na niego swoistym wzruszeniem estetycznym dlatego, że nakłania nas do „przenikania tajemnic pozaświatowego bytu”, czy dlatego, że słowa poety działają na naszą wyobraźnię, nasuwają nam przed oczy wspaniałe, przed naszymi oczami właśnie wstający obraz nocy księżycowej nad jeziorem? Anamneza, o której w swej refleksji o sztuce wspomina Przybyszewski, to jakby ponowne przypomnienie, odtworzenie czegoś w pamięci. Udział anamnezy w naszym reagowaniu na wiersz polega na tym najwyżej, że słowa *gwiazdy* i *księżyc* wywołują w nas takie emocje, jakie mógłby w nas wywołać widok desygnatów, do których te słowa się odnoszą; w tej transformacji wrażeń tkwi istotnie pierwiastek zagadkowości, ale ta zagadkowość dotyczy mechanizmu uruchamianych przez mózg odruchów warunkowych na brzmienia słów, a nie „wizyjnej anamnezy przedbyтового istnienia”. Na takiej jak u Przybyszewskiego „wizyjnej anamnezie” oparta jest „Genezis z ducha” Słowackiego, który na podstawie ożywiania w sobie pamięci („nie tworzę prawie nic, lecz przypominam”) chciał sięgać do początków dziejów świata i Polski. To jest bodaj najjaskrawsza forma poetycko-historiozoficznej introspekcji, zachowującej pewną formę kontaktu z kategorią pojęć przestrzennych (bo każde „ja” jest w przestrzeni), ale przekraczającej ponad wszelką rozsądną miarę kategorię pojęcia czasu, bo pamięć niczyjego „ja” początków świata (ani Polski u Słowackiego w „Królu-Duchu”) sięgać nie może.

Pojęcia organizmu i środowiska, jak już wspominałem, są ze sobą najściślej związane. Organizm poza środowiskiem jest nie tylko niemożliwością fizyczną, ale i teoretyczną, bo warunkiem istnienia organizmu jest istnienie środowiska, w którym organizm znajduje możliwości swego życiowego rozwoju. „Jako część przyrody, pisał Pawłow, każdy organizm żywej istoty jest złożonym, wyodrębnionym systemem, którego siły wewnętrzne w każdej chwili, póki ten system istnieje jako taki, równoważą się z zewnętrznymi siłami zewnętrznego środowiska”. Równoważyć się to znaczy znajdować właściwe reakcje, właściwe środki opanowywania i siebie, i sytuacji, w której się jest. Centralą koordynującą i integrującą wszelkie reakcje organizmu na bodźce zarówno zewnątrzpochodne, jak i wewnątrzpochodne, jest mózg. Bez oparcia się na tej koncepcji niemożliwa jest rzeczowa, owocna praca nad zagadnieniami absorbującymi myśl językoznawcy, w szczególności praca nad tymi działami leksykologii, czyli nauki o wyrazach, które dotyczą procesu różnicowania rze-

czywistości za pomocą elementów myślenia językowego (te zagadnienia należą również do zakresu semiotyki, a także epistemologii). Możliwe byłoby tylko inercyjne kontynuowanie anachronicznych metod myślenia, które skazują na posługiwanie się narzędziami zawodzącymi w konkretnej pracy. Naukowa interpretacja każdego badanego zjawiska wymaga wyjaśnienia jego przebiegu w czasie i jego relacji przestrzennych. Każdy tak zwany fakt językowy (dodaję „tak zwany”, bo „fakt językowy” jest wyrażeniem konwencjonalnym, zastępczym, mogącym odnosić się albo do aktu mowy, albo do typu aktu mowy) staje się dla nas zrozumiałym o tyle, o ile zdołamy go ująć w perspektywie historycznej, przestrzennej. Postulat chronologizacji i lokalizacji jest podstawowym postulatem wszelkiej pracy badawczej, także oczywiście, a może nawet zwłaszcza, w zakresie językoznawstwa. Badanie mózgu jako centrali regulującej procesy dynamicznego równoważenia się organizmu z bodźcami środowiska jest badaniem jego funkcji w czasie połączonym z usiłowaniami wykrywania związków tych funkcji ze strukturą mózgu, to znaczy z usiłowaniami wykrywania ich lokalizacji. Jest to zagadnienie niezmiernie skomplikowane, wykracza ono poza zakres nie zainteresowań, ale techniki badawczej językoznawcy. Językoznawca powinien jednak pamiętać o tym, że w swoim dążeniu do uściślenia lokalizacji faktów językowych (nie powtarzam już „tak zwanych”, nie rezygnując z treści tego zastrzeżenia) — a takie są, najogólniej mówiąc, zadania geografii lingwistycznej — staje on ostatecznie wobec zagadnienia lokalizacji tych faktów w jednostkowych mózgach ludzkich. Jedyna możliwość rozszerzania granic poznania polega na konsekwentnym operowaniu kategoriami pojęć przestrzennych. Teoretyczna integracja nauk może się dokonywać tylko w obrębie dyscyplin opierających się na tym podstawowym założeniu. Poza kategoriami pojęć przestrzennych jest próżnia maskowana czasem przez mętną myśl za pomocą słów o nieokreślonej treści. W dalszym ciągu tych rozważań chciałbym przejść do zilustrowania tego, w jaki sposób rzeczywistość zewnętrzna jest różnicowana za pomocą form językowych, w jakim stopniu ujęzykowiona świadomość człowieka jest zwierciadłem odbijającym relacje zachodzące między fragmentami rzeczywistości, w jakim zaś jest pryzmatem zmuszającym nas do pewnego sposobu ujmowania świata i przesądzającym w wielu wypadkach nawet o elementarnych formach percepcji. Jest to kompleks zagadnień bardzo złożonych, absorbujących wielostronnie myśl, wymagających wielkiej równowagi i stałego liczenia się z procesami dynamicznego równoważenia się organizmu z bodźcami środowiska.

Na zakończenie wzmianka o pewnej dyscyplinie naukowej liczącej sobie lat zaledwie kilkanaście a pozostającej w bliskim związku z tematem, któremu poświęcone są artykuły wchodzące w skład cyklu objętego ogólnym tytułem *Funkcja poznawcza języka w jej projekcjach społecznych*. Mam na myśli naukę, której nazwę nie wiem, kto zaproponował, a

której poświęcony był kongres międzynarodowy odbyty w roku 1956 z udziałem uczonych głównie amerykańskich i radzieckich. Tą nauką jest bionika, który to termin może być ilustracją tego, że w zakresie terminów naukowych analogia słowotwórcza działa w sposób podobny jak w zakresie wyrazów mowy potocznej. Nazwa *bionika*, której rdzeniem jest wyraz grecki *bios* znaczący «życie», utworzona została przez analogię do terminu *elektronika*, opartego na wyrazie *elektron*, a więc skojarzenie z rdzeniem wyrazu *bios* części *-onika* oparte jest na perintegracji formy *elektronika*, podstawą bowiem *bioniki* jest rdzeń *bi-*, a nie nie istniejąca forma *bionik*. Ale to jest tylko uwaga uboczna, którą formułuję dlatego, że interesują nas zawsze związki myślenia naukowego z myśleniem powszednim, każdy przejaw takiego związku, choćby dotyczył tylko formalnego szczegółu, wart jest odnotowania.

Bionika jest nazwą nauki mającej łączyć zagadnienia naukowo-techniczne z zagadnieniami biologicznymi, nauki opartej na założeniu, że żywy organizm, w szczególności mózg, są to struktury tak skomplikowane i w swej komplikacji wykazujące tyle elementów celowości, że na nich właśnie w pewnym zakresie można się wzorować w budowaniu maszyn, czyli struktur o przeznaczeniu technicznym. W dyskusjach operowano między innymi argumentem, że gdyby struktura o tak olbrzymiej liczbie części składowych i tak skomplikowanym układzie jak mózg ludzki miała być skonstruowana jako maszyna techniczna, musiałaby ona mieć rozmiary kilkupiętrowego czy nawet kilkunastopiętrowego gmachu, gdy tymczasem mózg ludzki mający około dziesięciu miliardów komórek tworzących funkcjonalnie zróżnicowane układy ma rozmiary minimalne. Mózg ludzki, ten „prz rząd nad prz rządami”, jak mówił o nim Pawłow, stanowi mikrokosmos, który budzi w nas nie mniejszy podziw niż nieskończone przestrzenie kosmosu, poznawane zresztą dzięki temu tylko, że stosunkiem człowieka do świata i jego oparowaniem rządzi mózg dostępny bezpośredniemu naukowemu badaniu.

W tym zakresie leżą możliwości integrowania się nauk, myśli teoretycznej z działaniem technicznym, tworzenia się syntezy wszelkich osiągnięć istoty będącej i *homo sapiens*, i *homo faber*, syntezy, której jednym z podstawowych warunków jest to, że ta istota jest jednocześnie *homo loquens* i że jako *homo loquens* właśnie interesuje ona językoznawcę.

Uświadamianie sobie tej prostej prawdy to utrwalanie się w parokrotnie już akcentowanym w naszych wywodach przekonaniu o nierozdzielnej bio-psycho-socjalnej jedności człowieka jako członka środowiska społecznego. Im żywiej uświadamiamy sobie tę jedność, tym szerzej rozsuwamy granice naszego „ja” i tym żywsza powinna się budzić w nas życzliwość dla ludzi i chęć przynoszenia pożytku środowisku, w którym żyjemy i z którym łączy nas owa jedność.

Stanisław Rospond

JESZCZE W SPRAWIE NAZWISKA KOPERNIKA

Ponieważ w druku jest moja obszerna monografia językowa pt. „Mikołaj Kopernik. Nazwisko — imię — pochodzenie” (wyd. Towarzystwo Naukowe w Toruniu), w której został uzasadniony szczegółowo rodowód Koperników — miedziarzy śląskich, dlatego — oszczędzając cenne arkusze drukarskie „Por. J.” — rezygnuję z obszernej polemiki z E. Moską, autorem kilku artykułów na ten temat.

Zwracam jedynie uwagę w związku z ostatnim artykułem¹ na poniższe jego wywody o pochodzeniu miejscowości *Koprnik* od *kopru* «rośliny» oraz o „synonimicznej” wymianie tychże samych nazw: *Koprnik* = *Koprzywnica*:

1. W sąsiedztwie Nysy nie było kopalnictwa ani hutnictwa miedziowego, gdyż źródła i opracowania historyczne na to nie wskazują. W związku z moim artykułem pt. *Toponomastyka a geologia*² ukazała się notatka w „Przeglądzie Geologicznym” XVIII, 1970, nr 1, s. 43 wraz z załączoną mapką.

„W pobliskich okolicach — pisze geolog — tego traktu (NB prowadzącego z Nysy na południe przez Glucholazy do Czechosłowacji), na terenie Czechosłowacji występują rudy miedzi eksploatowane obecnie w rejonie miejscowości Zlaté Hory, oddalonej w prostej linii od *Koperników* około 19 km. Jedno z najwyższych wypiętrzeń kopulastych Wysokiego Jesionika nosi nazwę *Kerpnik* (*Kopernik*). ... Skojarzenie nazwy miejscowości *Koperniki* i wypiętrzenie kopulastego *Keprnik* z faktem występowania rud miedzi między nimi znajduje jak najbardziej powiązanie geologiczne”.

Nysa i jej okolica była już w średniowieczu ważnym ośrodkiem gospodarczym dzięki rozwojowi rzemiosła i kuźnic. „Należały do nich zakłady obróbki metali poruszane siłą wodną, tzw. kuźnice. W drugiej połowie XIV w. na zachód od miasta, nad brzegami rzek, stały kuźnice miedziane i wytwórnie drutu”³.

¹ E. Moško: *W sprawie nazwy Koprnik = Koprzywnica w powiecie nyskim i nazwiska Kopernik*. „Por. J.” 1970, z. 1, s. 17-28.

² S. Rospond: *Toponomastyka a geologia. W sprawie nazwiska Kopernika*. „Por. J.” 1963, z. 10, s. 429-434.

³ Por. „Miasto Nysa. Szkice monograficzne”, Wrocław 1970, s. 28.

E. Moško, opierając się jedynie na przestarzałej pracy J. Piernikarczyka⁴, zaprzeczał istnieniu w tych stronach kopalnictwa czy wyrobnictwa miedziowego. Obecnie zmienił pogląd, wyszczególniając wzmiankę



z 1419 r. o rzemiośle metalurgicznym w okolicach Nysy oraz o kuźnicach miedzi z 1461 r., 1465 r. „Jeszcze z r. 1561 z dokumentu biskupa Baltazara pochodzi informacja o istnieniu kuźnicy miedzi na rzece Bieli (!?) koło Nysy”⁵.

Czy takie skupisko kuźnicze i rękodzielnicze mogło powstać bez dłuższej tradycji?

2. *Koprnik* = *Koprzywnica*, gdyż taką identyfikację podał niemiecki historyk C. Grünhagen⁶ na tej podstawie, że: 1. był Henryk, pleban z Koprnik 1272 r., 1291 r.; tenże sam (pogląd E. Moški) jako Henryk, pleban z Koprzywnicy 1291 r.; 2. był Leonard, pleban z Koprzywnicy 1284 r., 1285 r.; tenże sam (pogląd E. Moški) przeniósłszy się do Legnicy wystąpił razem z Henrykiem jako Leonard z Legnicy 1291 r.

Z zestawienia tych wzmianek „można wnosić — pisze Moško — że proboszcz Leonard, gdzieś między rokiem 1285 a 1291 przeniósł się do Legnicy, gdzie objął probostwo, a na jego miejscu plebanem w Koprzywnicy został proboszcz Henryk”. Ale przecież już w 1272 r. tenże Henryk był proboszczem w Kopernikach! Czy równocześnie było aż 2 proboszczów w parafii wiejskiej? Bardzo są to pogmatwane dzieje niewielkiej parafii wiejskiej; tenże sam Henryk

⁴ J. Piernikarczyk: „Historia górnictwa i hutnictwa na Górnym Śląsku”. Katowice 1933.

⁵ E. Moško: op. cit., s. 18.

⁶ Por. „Regesten zur schlesischen Geschichte” (= „Codex diplomaticus Silesiae” VII, cz. 3, s. 63, 156, 160).

dwukrotnie obejmowałyby probostwo: w 1272 r. i w 1291 r. Przyczyną tej rażącej pomyłki i dowolności była identyfikacja stereotypowych imion Henryk, Leonard, też częstych określeń przy nich *plebanus*. Ponadto niedopuszczalne jest zacieranie strukturalnej różnicy między toponimami na *-nik* oraz *-nica*: *Dębnik* — *Dęb-nica*, *Lipnik* — *Lipnica*, *Wierzbnik* — *Wierzb-nica*, *Chmielnik* — *Chmiel-nica* itp. Zresztą również podstawa *kopr* (*Koprnik*) nie jest tym samym co *koprzywa* (*Koprzywnica*)!

E. Moško podobny ma pogląd na strukturę nazw jak A. Brückner⁷, dla którego równoznaczne, czyli „synonimiczne” były nazwy: *Wilków*, *Wilki*, *Wilkowice*.

3. Określenie odmiejscowe *de Copriwniza* = *Koprzywnica*, potem *Pokrzywnica*, pow. kozielskiego oznaczało osobnika pochodzącego, może urodzonego w tej miejscowości, nie zaś proboszcza z tej miejscowości, w której nie było kościoła.

4. Dlaczego autor nie respektuje nazw ustalonych przez komisję, lecz wymyśla własne potworkowate, germanizacyjne: *Biela*, *na Bieli* (niem. *Weisswasser*, dawniej *Biele*, *Bielau*, *Biallafluss*) = *Biała*, dopł. Nysy Kłodzkiej; *Pylzez* 1291 r. (niem. *Pilsnitz*) ustalono jako *Pilczyce* (dzielnica Wrocławia), ale autor podaje dziwną rekonstrukcję *Pilziec*, sugerując czytelnikowi, że jest to nazwa obowiązująca.

Autor zbyt szczerze obdarza oponentów epitetami: *analogiczne hiperbole*, *bezpodstawny*, *dowolny* itp. Jakże sam jest nieścisły i zbyt euforyczny w następujących sformułowaniach: „Tak więc analiza onomastyczna nazwy i nazwiska Kopernik doprowadziła nas do wyników *n a d s p o d z i e w a n i e w a ż n y c h*” (s. 28 — podkr. S. R.). „Argumentacja wyżej przedstawiona pozwala odrzucić ostatecznie etymologię J. Karłowicza, J. Łosia i S. Rosponda i jako logiczny uznać wywód podany już przez J. Staszewskiego...” (tamże). Staszewski⁸ był zasłużonym geografem, ale jako autor pożytecznego, choć w wielu etymologiach zdecydowanie bałamutnego, słownika, nie może być autorytetem.

Fakt, że Kopernik „wstrzymał słońce, ruszył ziemię”, nie tylko zaostcza naszą ciekawość co do genezy jego nazwiska, ale też powinien wpływać łagodząco na sposób, w jaki *grammatici certant* na ten temat.

W. D.

⁷ A. Brückner: „O nazwach miejscowych”, Kraków 1935, s. 1.

⁸ J. Staszewski: *Słownik geograficzny*. Gdynia 1948.

„Eneida” Kotlarewskiego, której poświęcony jest interesujący artykuł doc. Pilińskiego, była w swoim czasie utworem bardzo popularnym nie tylko wśród Ukraińców, ale i wśród Polaków zamieszkałych na Ukrainie. Pisze o tym Jeż w swoim Pamiętniku („Od kolebki przez życie”) t. I, s. 28. Wśród szlachty jego rodzinnych okolic „język rzeczy nie stanowił, byle się autor zrozumieć dał”. Dzieła i wyjątki kursowały między szlachtą w odpisach. W księdze jednej widział Jeż „Myszeidę” Krasickiego i „Eneidę” Kotlarewskiego. „Ta ostatnia — dodaje — bardzo czytana, ogromnej używała wziętości w sferach szlacheckich. Sąsiedzi dowozili ją sobie i głośno czytali. Zachwycali”. Z lat dzieciennych pozostało Jeżowi wspomnienie o tym, że ojciec jego czytywał niekiedy swoim dzieciom ustępy „Eneidy” Kotlarewskiego (op. cit. I, 60).

„Ukrainizacja” fragmentów historii starożytnej przybierała czasem formy dość swoiste. Oto jak opisuje Jeż nastroje grona dzieci, rówieśników Jana z „Historii o pra-pra-pra-wnuku”: „Nie czytaliśmy jeszcze gazet, więc nas tegoczesność od przeszłości nie odrywała i wielka odległość wieków minionych nie wydawała się bardzo wielką. Jan szczególnie umiał się w nie przenosić i stare dzieje opowiadał jak istne nowiny. Jeżeli np. przyplątało się do rozmowy imię Koklesa, to odmalował go jak żywego. Opisał bitwę, porażkę Rzymian (...) My, dzieci skupione w żydowskiej izbie, olbrzymieliśmy na bohaterów i żalowaliśmy, że nie nam przyszło się bronić Grecji i Rzymu. A gdy który z nas bąknął: „Ej ty na szybkim koniu gdzie pędzisz, kozacze!” to natychmiast greccy i rzymscy bohaterowie przedzierzgałi się w kozaków i wydawało się nam, że to kozak stał do ostatka na podrażbanym wiązaniu mostu Sublicjusza”. (Cytowałem ten ustęp w książce „Język T. T. Jeża”. Warszawa 1949, strona 16).

W. D.

Mikołaj Piliński

(Kijów)

UKRAIŃSKA „ENEIDA” IWANA KOTLAREWSKIEGO W 200-LECIE URODZIN POETY (1769—1969)

Do tego poematu Ukraińcy mają szczególny sentyment. Więcej niż półtora stulecia (od r. 1798) „Eneida” Kotlarewskiego cieszy się ogromną popularnością, która bynajmniej się nie zmniejsza. Inne przeróbki słynnego dzieła Wergiliusza — włoskie, francuskie, niemieckie, rosyjskie — od dawna interesują już tylko historyków literatury, a ukraińska „Eneida” pozostała utworem powszechnie czytany, lubianym, cytowanym, znanym zresztą i poza granicami Ukrainy (istnieje kilka przekładów rosyjskich i czeskich, przeróbek białoruskich, prób tłumaczeń na inne języki słowiańskie). Jaka jest przyczyna niezwyklej żywotności tej niezbyt wykwintnej trawestacji, wyśmiewającej starożytnych bogów i bohaterów, ubranych w ukraińskie stroje ludowe i pędzących życie nie bardzo cnotliwe? Można wskazać kilka takich przyczyn: literackich, kulturalno-politycznych i językowych, ściśle między sobą powiązanych.

Istotne jest tu chyba to, że „Eneida” zapoczątkowała współczesną literaturę ukraińską, współczesny język literacki, a nawet współczesną ukraińską leksykografię (dodany do poematu słownik objaśnia ponad tysiąc wyrazów). O języku „Eneidy” powstała przez około 150 lat wielka literatura naukowa, a badania językoznawców nad jej tekstem trwają do dziś¹. Chociaż pozostaje jeszcze sporo szczegółów dyskusyjnych, nie ulega jednak teraz żadnej wątpliwości, że język poematu jest swoistą i udaną syntezą gwary połtawskiej, języka literackiego poprzedniego okresu (tzw. dawnego języka ukraińskiego XIV—XVIII w.) oraz niektórych innych podstawowych dialektów ludowych. Doszukiwano się w „Eneidzie” — jak wiadomo z opracowań jeszcze XIX-wiecznych — nawet wyrazów z najdalszego Zachodu, znać Dniestru. Rzecz jasna, że pisarz, choćby genialny, nie mógł „stworzyć” takiego języka. Mniej lub bardziej zróżnicowany ogólnoukraiński interdialekt istniał od dawna jako język mówiony i twórczości ludowej, stopniowo przenikając do dawnego języka literackiego i przekształcając go². Kotlarewski miał również kilka poprzedników w dziedzinie literatury pięknej, np. Nekraszewicza z Ukrainy północnej, ale „Eneida” była pierwszym utworem od razu ogólnie i entu-

¹ Patrz: Ювілейна наукова конференція, присвячена 200-річчю від дня народження І. Котляревського. (Тези доповідей і повідомлень). Харків 1969.

zjastycznie przyjętym na całym obszarze kraju. W zasadniczych swoich cechach fonetycznych, morfologicznych, leksykalnych jej język, chociaż już nieco przestarzały, jest i dziś bardzo bliski współczesnym normom literackim i tradycji poezji ludowej. Poemat nie sprawia więc trudności językowych ani dzieciom w szkołach średnich, ani szerokim rzeszom czytelników.

Ale o nieśmiertelności dzieła Kotlarewskiego na Ukrainie decydują głównie przyczyny treściowe, oczywiście w powiązaniu z jego walorami artystycznymi i językowymi. „Eneidy” w literaturach innych narodów powstawały jako reakcja przeciw literackim kanonom klasycznym, ich twórcy „uzwyklali” bohaterów antycznych, pozbawiali ich koturnów, kazali im mówić językiem potocznym, niekiedy wprost ordynarnym. Na takich głównie kontrastach opiera się humor poematów Lalli, Scarrona, Blumauera, Osipowa i in. Ale z rozwojem życia kulturalnego traciły swą aktualność i popularność utwory okresu klasycyzmu i zmieniał się stosunek do literatury starożytnej. Ulegały także zapomnieniu i parodie Wergiliusza. „Eneida” Kotlarewskiego uniknęła tego losu, bo humor jej jest odmienny od humoru trawestacji w innych literaturach, nie mówiąc już o tym, że ma ona wiele innych wartości. Już od dawna wskazywano na to, że burleska na Ukrainie w XVII—XVIII w. miała cechy bardzo swoiste³, przede wszystkim ludowość i satyryczność w malowaniu obrazów współczesnego życia oraz głębokie ujęcie stosunków społecznych epoki. Kiedy Zeus z ukraińskiej „Eneidy” w gniewie wymyśla bogom i boginiom za ich intrygi i swary, śmieszy czytelników nie tyle nieodpowiedniością ordynarnej, „gminnej” mowy w ustach Gromowładnego, ile sama satyrycznie ujęta postać typowego ukraińskiego ziemianina, urzędnika, bogatego Kozaka i — szerzej — starego Ukraińca, który rozwścieczony, straciwszy wszelką miarę, „robi porządek” wśród swojej czeladzi albo w swojej rodzinie, szczególnie kiedy zwraca się do bogiń jak do niesfornych, rozpuszczonych córek:

А вам, Олімпські зубоскалки,
Моргухи, дзиги, фіглярки,
Березової дам припарки.
Що довго буде вам втямки.

Ох, ви на смертних дуже ласі!
Як Грек на ніжинські ковбаси,
Все лихо на землі од вас.
Чрез ваші зводні, женихання,
Не маю я ушанування...

(cz. VI)

Tak samo śmieszy nas nie tyle przebranie Wenus to na ukraińską panią setnikową (cz. II), to na markietankę (cz. IV), ile jej zachowanie się w trudnych sytuacjach życiowych, jej zaradność, obrotność, śmieszy nas wyraziście nakreślona postać kobiety, która zawsze da sobie radę

² Por. M. A. Жовтобрюх: *Давні традиції в новій українській літературній мові*, „Мовознавство” 1970, nr 2.

³ Patrz pr. M. П. Дашкевич: *Малорусская и другие бурлескные (шутливые) „Энеиды”*, w: „Киевская старина”, t. 12, 1898, nr 9.

z mężem, z ojcem, z kochankiem, z sąsiadkami, zawsze postawi w końcu na swoim — przysłowiowy typ dzielnej kobiety ukraińskiej (i chyba nie tylko ukraińskiej).

Jeszcze mniej wspólnego z Trojanami ma ukraiński Eneasza i jego wojsko. Przed nami typowa wataha Kozaków, wędrująca po kraju — to obdarta i nędzna, to wesoła i pyszna, zatrzymująca się na odpoczynek w bogatym majątku (Kartagina!) i znów rzucająca się w wir burzliwego politycznego i wojskowego życia. W „Eneidzie” znalazły swoje odbicie również wydarzenia historyczne: zniszczenie Siczy, zniesienie Hetmańszczyzny, walki pod Połtawą, Benderami itd.⁴ Spotykamy tu też sławne na Ukrainie nazwiska Sahajdacznego i Doroszenki. Poemat Kotlarewskiego, parodiujący poemat heroiczny, sam nabiera patriotyczno-heroicznych, romantycznych i lirycznych nut:

Любов к отчизні де героїть,
Там сила вража не устоїть,
Там груди сильніша од гармат...
(cz. V)
Так вічної пам'яті бувало
У нас в Гетьманщині колись...

Так славні полки козацькі
Лубенський, Гадяцький, Полтавський
В шапках, було, як мак, цвітуть.
Як грянуть, сотнями ударять,
Перед себе списи наставлять,
То мов мітлюю все метуть.

(cz. IV)

Słynny rosyjski krytyk literacki XIX w. W. Bieliński nazwał kiedyś „Eugeniusza Oniegina” encyklopedią rosyjskiego życia. Taką swoistą encyklopedią starodawnej Ukrainy jest dla Ukraińca „Eneida” Kotlarewskiego. Autor z wielką dokładnością opisuje różne szczegóły życia Zaporozców (wataha Eneasza) i kozackiej starszyny — setników, pułkowników, obyczaje urzędników ówczesnych (bogowie i boginie, ich udział w losach Trojan), ulubione narodowe potrawy i napoje (liczne uczyty), ukraińskie stroje ludu i innych warstw społecznych, uprawiane wówczas rzemiosła, życie rzemieślników, kleryków, drobnych urzędników (przygotowania do wojny, zaopatrzenie wojska, obrazy piekła), ludowe znachorstwo (leczenie rannych), pogrzeb i inne obrzędy i zwyczaje, nawet stan ówczesnego szkolnictwa. Literacka obrazowość, językowa malowniczość tych opisów łączy się zawsze u Kotlarewskiego z prawdziwie naukową ścisłością i sumiennością. Wielu badaczy poematu podkreślało, że „Eneida” i teraz stanowi wdzięczny materiał dla etnografów i folklorystów; że utwór ten jest cennym naukowym dokumentem historycznym swojej epoki. Potwierdzenie tego mogą stanowić wiadomości, których dostarcza poemat w tak specjalnym zakresie jak ludowe tzw. *łuboczne* malarstwo. Jak wskazywał prof. M. Sumcow, wśród licznych nazw popularnych kiedyś obrazów (panowanie cara Grocha, portrety różnych bohaterów, Aleksander i Por, Mamaj, Bowa i Połkan itd.) są i takie, których

⁴ Patrz: К. Й. Студинський: *Козацтво і гайдамаччина в „Енеїді” Котляревського*, w: „Літературні замітки”, Львів 1901.

nie wymieniają nawet gruntowne prace naukowe; stanowi to tym samym pewien bodziec do dalszych badań⁵.

Ale zwykłego czytelnika poematu interesuje naturalnie nie stopień naukowej dokładności danych zawartych w opisach, ale poetyckie obrazy różnych dziedzin życia ojczyznego kraju. Humorystyczne przedstawianie szczegółów łączy się u Kotlarewskiego z miłością ojczyzny i z patriotyczną dumą. Charakterystyczne dla klasycznych poematów np. opisy wspaniałych darów przetwarza poeta w żartobliwe wyliczenia produktów, którymi do dziś dnia słyną różne miejscowości Ukrainy. Nie one oczywiście były i są podstawą gospodarki kraju, ale właśnie one wywołują w wyobraźni czytelnika tradycyjny obraz Ukrainy, której rzeki „płyną mlekiem i miodem”. Otrzymał bowiem ukraiński Eneasze:

Лубенського шмат короваю,	І гусячих п'ять кіп яць;
Корито опішнянських слив,	Рогатого скота з Лип'янки,
Горіхів київських смажених,	Сивухи відер з п'ять Будянки,
Полтавських пундиків пражених	Сто решетилівських овець.

(cz. IV)

Bogactwo treści, obfitość szczegółów obyczajowych i etnograficznych znajduje swój naturalny wyraz w nadzwyczajnym bogactwie języka poematu, w jego barwności, soczystości. Wyliczenie dań (*лемішка, зубці, путря, кваша, медовий шулик, з підлевою індик, локшина, свіяча голова до хрину* itd.) jednej tylko z licznych uczt może — przy całej ich archaiczności i humorystycznym nadmiarze — pobudzić apetyt niejednego dzisiejszego smakosza, może służyć (i służyło!) jako jadłospis niejednej uroczystości narodowej, choćby obchodów jubileuszowych ulubionego poety. Wymienione w utworze najrozmaitsze napoje alkoholowe i bezalkoholowe (*слив'янка, доренівка, дулівка-айвовка, калганка, варенуха, сивуха, мед, пиво, брага, горілка проста, оковита, сирівець, грушевий квас* itd.), a oprócz tego wszystkiego jeszcze „wina zamorskie”), przyniosłyby sławę niejednej restauracji „stylizowanej” (które w naszych czasach cieszą się tak dużą popularnością). A dla językoznawcy te nazwy potraw i napojów to doskonały materiał do badania określonych typów słowotwórczo-znaczeniowych. Tradycyjne epitety ludowe przy opisach np. zalet kobiety albo dziewczyny łącznie z trafnymi określeniami samego poety (*розумна пані і моторна, трудяща, дуже працююча, весела, гарна, сановита, проворна, чепурна, моргуха, зальотна, дородна, росла і красива, приступна, добра, не спесива, гнучка, юрлива, молода* itd.) stanowią długie szeregi amplifikacyjne, których pewną monotonię przerywają porównania, również tradycyjne (*свіжа як кислиця; ходила навичем, ласий кусочок*) albo humorystyczno-sytuacyjne (*що ваші гречеські ковбаси!*) czy rzekomo współczujące uwagi (*бідняжка, що була вдова*).

⁵ М. Ф. Сумцов: *Бытовая старина в „Энеиде” И. И. Котляревского*, в: „Сборник Харьковского историко-филологического общества”, t. 16, 1905.

Nasilenie emocjonalne osiąga szczytu naturalnie podczas wymyślań i klątw, ale i tu — przy niezwykłym bogactwie synonimów — nigdy nie przekracza poeta granic tradycji ludowej, bywa brutalny, ale nie ordynarny (*поганий, мерзкий, скверний, брудкий, нічемний, негідний, пакосний, престидкий* itd.). Dalszy ciąg tych klątw Dydony (cz. I) rozwija się także według dawnych, ale bynajmniej nie zapomnianych kanonów, prezentując nie tylko odpowiednie słownictwo i frazeologię, ale również wszelkie możliwe odmiany dawnych konstrukcji składniowych o najrozmaitszych odcieniach modalnych. A mianowicie: groźby — *Як дам ляца тобі я в пуху...!*, towarzyszącej tej obietnicy — *І очі видеру із лоба*, bezpośredniej propozycji rozkazującej — *Мандруй до сатани з рогами!*, życzenia — *Нехай тобі присниться бис!* i życzenia z niedwuznaczną nadzieją na spełnienie — *Щоб враг побрав вас всіх гульвіс... Щоб не оставсь ні чоловік. Щоб доброї не знали доли* itd. I znów humorystyczny kontrast polega tu głównie nie na przeciwstawieniu: kartagińska władczyni Dydona — brutalna klątwa, ale nie przeciwstawieniu: dostojna, bogata, szlachetna ukraińska pani — klątwa przekupki z bazaru. Zresztą wściekłość, niestety, prawie zawsze równa ludzi różnych stanów i różnego wychowania. Karykaturalne wyolbrzymienia w poemacie w opisach burzy morskiej, obrazach piekła, przygotowaniach do wojny itd., choć odznaczają się pewną wspólną wszystkim trawestacjom barokowością, są przeważnie zaczerpnięte z nieprzebranego skarbcza ukraińskich ludowych anegdot i bajek satyrycznych.

Liczni badacze „Eneidy” opracowując jej zasób słownikowy wskazywali m.in. na takie szczególnie szeroko w niej wyzyskane tematyczne grupy leksykalne jak: nazwy strojów (oddzielnie: nakryć głowy), nazwy przedmiotów domowego użytku, narzędzi rzemieślniczych, nazwy rozmaitych budowli i środków komunikacji lądowej i wodnej, nazwy potraw i napojów, nomenklaturę botaniczną, nazwy dzikich i domowych zwierząt i ptaków, nazwy ludzi związane z ich stanem i stanowiskiem w rodzinie, słownictwo wojskowe. Chociaż przeważa w poemacie leksyka konkretna, sporo też w nim wyrazów abstrakcyjnych, częściowo obcojęzycznych, odnoszących się do różnych uczuć, właściwości i stanów oraz do zjawisk społecznych.

W związku z treścią „Eneidy” i tradycją utworów trawestacyjnych szczególnie charakterystyczną dla dzieła Kotlarewskiego warstwę stylistyczną stanowi słownictwo potoczne i zabarwione emocjonalnie (humorystyczne, pieśczołliwe, brutalne). Jak podkreśla jeden z badaczy, W. Iljin, dziesiątkami wyrazów, różnorodnie nacechowanych stylistycznie, reprezentowane są w poemacie gniazda synonimów, oznaczających ruch, walkę, mówienie, grupujące się wokół czasowników *chodzić, bić, mówić*, przy czym poeta używa i wyrazów gwarowych, przestarzałych, cerkiewnosłowiańskich, a niekiedy nawet rosyjskich, co zresztą było cał-

kiem zrozumiałe w tym okresie rozwoju języka ukraińskiego i w ówczesnych warunkach politycznych⁶.

Leksykalno-stylistyczna różnorodność sprawia, że język „Eneidy” odczuwa się jako język opracowany, kulturalny, literacki, miejscami nawet wyraźnie książkowy. Słownictwo poematu w początkach lat pięćdziesiątych zostało ujęte w postaci indeksu alfabetycznego przez prof. Waszczenkę i doc. Petrową. Indeks ten w znacznym stopniu ułatwił badania nad językiem dzieła. Obecnie opracowuje się w Kijowie i Połtawie (rodzinne miasto poety) słownik wszystkich utworów Kotlarewskiego. Razem z wydanym już słownikiem języka Tarasa Szewczenki stworzy to już solidną podstawę naukową konkretniejszego i bardziej wnikliwego opisu ukraińskiego języka literackiego pierwszej połowy XIX w.

Ogromnie szeroko uwzględniona jest w „Eneidzie” frazeologia różnych typów strukturalnych i stylistycznych, z przysłowiami włącznie. Jeden z najstarszych współczesnych językoznawców ukraińskich, profesor kijowskiego uniwersytetu P. Pluszcz, który badanie języka Kotlarewskiego uczynił głównym celem swej naukowej działalności, wymienia prawie 400 zwrotów idiomatycznych, które systematyzuje w 70 grupach znaczeniowych⁷. W pracy innego badacza, G. Lewczenki znajdujemy szczegółową analizę przysłów użytych przez Kotlarewskiego i sposobów operowania nimi w jego dziele⁸.

„Eneida” była pierwszym wielkim utworem literackim, który na przełomie XVIII i XIX w. na taką skalę zaprezentował bogactwo leksykalne i frazeologiczne. Iwan Kotlarewski nie stworzył ukraińskiego języka literackiego, ale w okresie, kiedy faktycznie przestał istnieć ukraiński styl urzędowy i naukowy, a styl literatury pięknej został zagrożony, nie tylko kontynuował dotychczasowe tradycje językowe, ale je twórczo rozwinął, wzbogacił, związał z tradycją ludową i — co było chyba najważniejsze — uczynił dobrem ogółu.

⁶ В. С. Ільїн: *Мова творів І. Котляревського*, w: „Курс історії української літературної мови”, Київ 1958, t. 1, str. 153.

⁷ П. П. Плющ: *Ідіоматичні вислови в „Енеїді” Котляревського*, w: „Наукові записки Інституту мовознавства АН УРСР” t. 2—3, 1946.

⁸ Г. А. Левченко: „Нариси з історії української літературної мови першої половини XIX ст.”. Київ—Харків 1946.

O TZW. OPERATORACH PRAGMATYCZNYCH

Od czasów prac C. W. Morrisa i R. Carnapa, opublikowanych niemal bezpośrednio przed Drugą Wojną Światową, semiotykę, czyli ogólną teorię znaków i systemów znakowych, dzieli się na: 1) semantykę (w węższym sensie tego terminu, gdyż w szerszym *semantyka* używana jest w znaczeniu «semiotyka»), zajmującą się badaniem stosunków pomiędzy znakami, a tym, do czego znaki się odnoszą, czyli co oznaczają; 2) syntaktykę, badającą stosunki pomiędzy samymi znakami; 3) pragmatykę, zajmującą się stosunkami pomiędzy znakami a ich użytkownikami (chodzi tu głównie o wytwarzanie, odbieranie i interpretowanie znaków).

Semiotyka pojmowana jest jako teoria bardzo ogólna, mająca zastosowanie do wszelkich systemów znakowych, włącznie z różnymi językami sztucznymi, obejmuje więc także teorię języków naturalnych, zwanych też językami etnicznymi, to jest tych języków, którymi zajmuje się językoznawstwo.

Co się tyczy pragmatyki, to celem niniejszej notatki jest zwrócenie uwagi na pewne wyrazy lub zwroty (ilustrowane przykładami z języka polskiego), które wskazują, jaki jest stosunek mówiącego do tego, co mówi. Chodzić tu będzie przy tym o zwroty, nie wyrażające tego stosunku *explicite* w formie zdań takich, jak *Nie wierzę, że...*, *Cieszę się, że...* itp.

Takie elementy zdania były dotychczas mało badane. Klemensiewicz¹ nazwał je „dodatkowymi wyznacznikami intelektualnymi”, przy czym jego przykłady z jednej strony nie obejmują pewnej ważnej kategorii, a z drugiej dotyczą czasami spraw nieco innych.

Brakiem zasadniczym jest ograniczenie tych „wyznaczników” do „intelektualnych”. Istotnie, pewna grupa tych wyrazów i zwrotów dotyczy stosunku poznawczego mówiącego do tego, co mówi, przy czym niektóre z nich są podkreśleniem prawdziwości stwierdzenia, inne zaś wskazaniem przybliżonego stopnia prawdopodobieństwa jakiegoś faktu. Wydaje się, że ta druga podgrupa silniej wyraża stosunek mówiącego do treści tego, co on mówi. Jeżeli ktoś mówi: *Kowalski istotnie zajął pierwsze miejsce w swojej konkurencji*, to wówczas istotnie jest tylko potwierdzeniem i podkreśleniem prawdziwości wymienionego faktu.

¹ Zenon Klemensiewicz: „Zarys składni polskiej”, wyd. 3. PWN, Warszawa 1961, str. 26—7.

Wyraźniej stosunek ten uwidacznia się w określeniach probabilistycznych: *chyba*, *może*, *zapewne*, *niewątpliwie* oraz w określeniach wyrażających powątpiewanie: *jakoby*, *rzekomo*. Można natomiast mieć wątpliwości, czy zaliczenie przez Klemensiewicza do tej grupy *koniecznie* jest trafne.

Druga grupa, określona przez Klemensiewicza jako „interpretacyjno-uwydatniająca”, też nie wydaje się jednorodna. Wrócimy do niej nieco później. Kategoria przez Klemensiewicza całkowicie pominięta to określenia stosunku emocjonalnego ze strony mówiącego do tego, co mówi. Wymienimy tu *przede wszystkim*, *na szczęście*, *niestety*, *dopiero*, *nareszcie*, *koniecznie*. Jak wspomniano, *koniecznie*, zaliczone przez Klemensiewicza do określeń probabilistycznych, ma w istocie sens inny. Jeżeli mówimy *Marysia chyba zda egzamin*, *Marysia na pewno zda egzamin* itp., to wyrażamy naszą ocenę prawdopodobieństwa zdania egzaminu przez Marysię. Nie można jednak powiedzieć *Marysia koniecznie zda egzamin*; normalnym sformułowaniem będzie natomiast *Marysia koniecznie musi zdać egzamin*, co jednak nie dotyczy prawdopodobieństwa zdania egzaminu przez Marysię, lecz wyraża przekonanie mówiącego, że niezdanie egzaminu przez Marysię miałyby jakieś bardzo niepożądane konsekwencje. *Na szczęście* i *niestety* nie wymagają wyjaśnień. *Dopiero* wskazuje na to, że coś stanie się (lub stało się) później, niż mówiący tego by sobie życzył (a więc wskazuje więcej niż tylko odległość terminu, jak sugeruje Klemensiewicz: po pierwsze, wyraża stosunek mówiącego, a ponadto może dotyczyć także wydarzeń, które już nastąpiły: *Kowalski wyjechał dopiero we wtorek*). *Nareszcie* wskazuje, że nastąpiło coś, czego mówiący pragnął, lub przynajmniej oczekiwał, i że stało się to później, niżby sobie tego życzył (w pytaniach, którymi się tu nie zajmujemy, *nareszcie* może odnosić się do wydarzeń, które nie nastąpiły; w zdaniach twierdzących użycie tego słowa w odczuciu autora notatki budzi wątpliwości).

Jak widać z powyższego, podział Klemensiewicza przynajmniej w szczegółach nie wydaje się trafny; ponadto grupa nazwana przez niego „interpretacyjno-uwydatniająca” nie jest ani pełna, ani całkowicie jednorodna. Pominięcie wśród wyznaczników interpretujących takich wyrazów czy zwrotów jak *niestety* i *na szczęście* jest zaskakujące, a wyjaśnienia nie są chyba zbyt precyzyjne. Weźmy chociażby *już* i *dopiero*. Sytuacja jest bardziej skomplikowana, niż o tym była mowa wyżej. Jeżeli mówimy *Kowalski będzie dopiero jutro* i sami na tegoż Kowalskiego czekamy, to interpretacja jest taka, jak podana powyżej, ale jeżeli mówimy to tylko informując kogoś innego, kto na Kowalskiego czeka, to funkcja *dopiero* jest tutaj inna: słowo to wyraża rodzaj grzecznościowego (raczej zdawkowego) współczucia. W wypadku *już* sprawa jest bodaj jeszcze trudniejsza. Można podejrzewać, że między sformułowaniami *Kowalski wyszedł* i *Kowalski już wyszedł* różnica polega tylko na nieznacznym podkreśleniu faktu, o którym mowa, i tu termin Klemensiewicza

„wyznacznik uwydatniający” jest chyba bardzo trafny, gdyż chodzi raczej o zabieg stylistyczny, niż o wyrażenie własnej postawy uczuciowej. (Może zresztą dałoby się ustalić pewną różnicę znaczeniową pomiędzy obu sformułowaniami, a mianowicie: jeżeli informujemy, że *Pan Kowalski wyszedł*, to mamy na myśli raczej jego chwilową nieobecność, podczas gdy informacja *Pan Kowalski już wyszedł* sugeruje, że wyszedł i nie wróci tu w jakimś dającym się określić czasie, jeśli jego obecność była wydarzeniem o charakterze niejako wyjątkowym, lub — jeśli jego obecność wynika np. ze stałych obowiązków pracownika — nie wróci przed rozpoczęciem się następnego dnia pracy).

Uczynione było powyżej zastrzeżenie, iż nie rozpatrujemy tutaj sformułowań, które *explicite* wyrażają stosunek mówiącego do tego, o czym mówi, ale należy sobie wyraźnie zdać sprawę z tego, że obie kategorie omawianych tu operatorów pragmatycznych *implicite* pełnią funkcję zdania nadrzędnego. *Marysia na pewno zda egzamin = Jestem pewien, że Marysia zda egzamin; Marysia na szczęście zdała egzamin = Cieszę się, że Marysia zdała egzamin; Marysia koniecznie powinna ubiegać się o stypendium = Uważam za konieczne (lub: ze wszelkich miar wskazane), aby Marysia ubiegała się o stypendium; etc.* Wynika to zresztą bezpośrednio z semiotycznej roli tych operatorów: skoro wyrażają one stosunek mówiącego do tego, o czym mówi, to są znaczeniowymi odpowiednikami zdań stwierdzających taki stosunek, a więc muszą się dać łatwo pretransponować na takie zdania, które — zgodnie z zasadami składni polskiej — pełnią rolę zdań nadrzędnych.

PARALELE SEMANTYCZNE: SŁOWEŃ. KUČMAR
«CYSTOPHORA CRISTATA»,
POL. KAPTURZAK || KAPTURNIK,
NIEM. KLAPPMÜTZE || MÜTZENROBBE «TS.»

W języku słoweńskim wyraz *kučma* znaczy: 1. «czapka futrzana», 2. «czub, chochoł (na głowie ptaka)»¹. Jest podstawą wyrazu *kučmar*, który ma też dwa znaczenia: 1. «handlarz czapkami futrzanymi», 2. «pe-wien gatunek fok»².

Foka, której nazwą słoweńską jest *kučmar*, zamieszkuje północne, wody Atlantyku na zachód od Szpicbergu³ i Wyspy Niedźwiedziej, też wody Grenlandii południowej i Labradoru; sporadycznie spotyka się ją u północnych wybrzeży Islandii i Norwegii. Samce dochodzą do 2,4 m długości i około 200 kg ciężaru. Dorosłe samce na górnej, przedniej części głowy mają połączone z nosem torbowate skórzane narośla. Kiedy samiec jest czymś podniecony lub rozdrażniony, nadyma narośl, która przyjmuje kształt niby wielkiego serdelka; głowa zwierzęcia wygląda wówczas, jakby się coś na niej znajdowało⁴.

Stąd właśnie nazwa słoweń. *kučmar*, dosł. «ten, co ma na głowie (jakby) czub, (jakby) (ptasi) chochoł».

Obrazowość tę mamy również w nazwie naukowo-lacińskiej: *Cystophora cristata* (Erxl.). Naukowy neologizm *cystophora* znaczy dosł. «ta, co nosi pęcherz» (tu domyślnie: na głowie); grec. *kýstis* «pęcherz», *phoreo*

¹ Jest to wyraz ogólnosłowiański (w języku polskim: *kuczma*). Zob.: L. Kiss: *Proischozdenije slow „biekiesza”, „kuczma”, „szalasz” i „sziszak”*. W: „Etimologičeskije issledowanija po russkomu jazyku”, wyp. 4, Moskwa 1963, s. 52—58; tenże: *Kuczma*, „Magyar Nyelv” LVI, 1960; tenże: *Znaczenije wiengierskoj leksiki dla etimologičeskich issledowanij w oblasti sławiańskich jazykow*, „Studia Slavica” [Budapest] X, 1964, s. 25.

² M. Pleteršnik: *Slovensko-nemški slovar*, t. I, Ljubljana 1894—1895, s. 484.

³ Tak: Szpicberg, a nie — jak się najczęściej spotyka w literaturze — Spitsbergen (pol. Szpicberg zob. np. w tomie *Polskie nazewnictwo geograficzne świata*, Instytut Geografii PAN, Warszawa 1959, s. 130, 131. Zob. też mój artykuł *Jeszcze o nazwie „Spitsbergen” i jej polskim brzmieniu*, „Czasopismo Geograficzne” XXXVI, 1965, s. 191—192).

⁴ Zob. np.: J. Fudakowski: „Ssaki morskie”, b.m.w. 1948, s. 11; A. Ropelewski: „Ssaki morskie”, Warszawa 1959, s. 61—62.

«noszę», a łac. *cristata* znaczy «czubata»: *crista* «czub, grzebień ptasi», «kita szyszaka». Całość więc, *Cystophora cristata*, to jakby «ta, co nosi (na głowie) pęcherz niby grzebień ptasi, niby czub (jak ptak czubaty)».

J. Fudakowski w pracy cytowanej w naszym przypisie 4 fokę tę nazywa spolonizowaną nazwą naukowo-łacińską *cystofora*. Już jednak w E. Majewskiego *Słowniku nazwisk zoologicznych i botanicznych polskich...*, t. I, Warszawa 1889—1891, ssak ten ma nazwę polską: *kapturzak* (s.v.) i tę stosuje m.in. A. Ropelewski, autor drugiej cytowanej w przypisie 4 pracy o ssakach morskich.

Cystophora cristata wraz z dwoma gatunkami mirung, inaczej słoni morskich, tworzy w rodzinie fok (*Phocidae*) podrodzinę o nazwie *Cystophorinae*, po polsku: *kapturzaki* ⁵.

Wyraz *kapturzak*, znany już ze słownika Majewskiego, nie jest notowany w Słowniku warszawskim. Słownik ten rejestruje inną nazwę zoologiczną utworzoną od rzecz. *kaptur*: *kapturnik*. Jest ona tutaj dubletem nazwy *bielotocz* «chrząszcz czteroczłonowy z rodziny drwalnikowatych» (SW, t. II, s. v. *kapturnik*).

W Słowniku pod red. W. Doroszewskiego w tomie z literą K jest tylko *kapturnica* «*Sarracenia*, roślina owadożerna, ze wsch. części Ameryki Pn.» (SD, t. III, 1961, s. v.; tu i niżej definicje skracam).

W *Wielkiej encyklopedii powszechnej PWN-u* *Cystophora cristata* ma nazwę *kapturnik* i obocznie (starszą; zob. wyżej) *kapturzak* (WEP — PWN, t. V, 1965, s. v. *kapturnik*). Wyraz *kapturnik* jest też tam jedną z nazw jaszczurki *Basiliscus basiliscus* (WEP — PWN, t. I, 1962, s. v. *bazyлизek*: *bazyлизek*||*bazyлизek chelmiasty*||*kapturnik*; u samca tej jaszczurki z tyłu głowy występuje grzebień skórny przypominający chęlm).

W tomie suplementowym SD *kapturnik* to «*Cystophora cristata*» ⁶ i — jak w SW (por. wyżej) — «chrząszcz *Bostrychus capucinus*, drążący chodniki w drewnie dębowym» (SD, t. XI, 1969, s. v.).

Rozpatrywane tutaj wyrazy (*kapturzak*, *kapturnik*) należą do nazw znamionujących, tj. rzeczowników, „które nazywają przedmiot (osobę, zwierzę, rzecz itd.) wedle jakiejś uderzającej cechy; jest nią właściwość, stan albo też swoisty i przez to właśnie charakteryzujący stosunek do innego przedmiotu” ⁷. Nazwy te tworzone są (od przymiotników, imiesłów biernych i rzeczowników) za pomocą m.in. formantów: *-nik* (np. *rolnik*) ⁸ i *-ak* (np. *dworak*) ⁹. A więc pod względem gramatycznym po-

⁵ Ropelewski: o. c., s. 168.

⁶ W definicji jest tu podana i ta informacja, że „u samca występuje na wierzchu głowy i nosie kieszeń skórna, którą może on nadymać powietrzem”.

⁷ Z. Klemensiewicz, T. Lehr-Splawiński, S. Urbańczyk: „Gramatyka historyczna języka polskiego”, Warszawa 1955, s. 200.

⁸ Klemensiewicz, Lehr-Splawiński, Urbańczyk: o. c., s. 201.

⁹ Klemensiewicz, Lehr-Splawiński, Urbańczyk: o. c., s. 202.

prawna jest zarówno nazwa *kapturnik*, jak i *kapturzak*¹⁰. Ponieważ jednak wielość nazw na jeden desygnat jest w słownictwie specjalnym zjawiskiem niepożądanym, z punktu widzenia „polityki językowej” wydaje się, że jedna z tych nazw zwierzęcia *Cystophora cristata* powinna być wyeliminowana. Zwróćmy przy tym uwagę, że dzisiaj *kapturnik* jest jeszcze nazwą nie tylko pewnego chrząszcza, ale także pewnej jaszczurki (zob. w.).

Dodajmy też, że nazwa *kapturnik* w F. Jarockiego „Zoologii...” z 1. połowy XIX w. oznacza pewnego ptaka brodzącego. Na Jarockiego powołuje się K. C. Mrągowiusz w jednym ze swych słowników podając: *kapturnik* = niem. *Kappenvogel*¹¹ (*Kappe* «czapka, kaptur, kapiszon, kapuza itp.»).

Niemieckich nazw ornitologicznych złożonych z wyrazem *Kappe* «czapka itp.» jest kilka; np. pewien tracz, północnoamerykański *Mergus cucullatus* L, nazywa się *Kappsäger* (*Säger* to «ptak tracz»), bo na głowie ma rodzaj grzebienia.

W języku niemieckim z czapką skojarzono również narośl na głowie foki *Cystophora cristata*: po niemiecku foka ta nazywa się *Klappmütze*, dosłownie niby «ta, co ma (na głowie) przykryw(k)ę, jak czapkę» (*Klappe* «klapa, przykrywka», *Mütze* «czapka») i obocznie *Mützenrobbe* (*Robbe* «foka») ¹².

¹⁰ O rzeczownikach odrzecznikowych na -ak zob.: W. Doroszewski: „Podstawy gramatyki polskiej”, cz. I, Warszawa 1952, s. 309—310. Tutaj m.in. o nazwach, „które znaczą stworzenia lub przedmioty będące posiadaczami desygnatów wyrazów podstawowych, np. *ikrzak* «samica ryby mająca ikrę» (*Linde*)” i o nazwach, których podstawą „staje się nazwa przedmiotu, w którym upatrzono jakieś podobieństwo do przedmiotu nowo nazywanego, np. *rzepak* «roślina o liściach podobnych do liści rzepy» itp.” — Jeśli idzie o wyraz *kapturzak*, to się wydaje, że choć mamy tutaj do czynienia z podobieństwem czegoś do czegoś, należy go interpretować raczej tak, jak zinterpretowany jest wyraz *ikrzak*, a nie jak *rzepak*: *kapturzak* to «zwierzę mające „kaptur”»; w drugim wypadku wyraz ten znaczyłby «zwierzę o głowie podobnej do kaptura», tymczasem to nie głowa jest podobna do kaptura. Ale jest to dyskusyjne. Bo może idzie tu jednak o «zwierzę o narośli (na głowie) podobnej do kaptura» (o „kieszeni skórnej”, która po wypełnieniu powietrzem jest podobna do kaptura).

¹¹ F. P. Jarocki: „Zoologia czyli zwierzętopismo ogólne...”, Warszawa 1821—1838; Ch. C. Mrongovius: *Ausführliches polnisch-deutsches Wörterbuch...*, Königsberg 1835, s.v. *kapturzak*.

¹² Zob. np. *Meyers neues Lexikon*, Bd. 6, Leipzig 1964, s.v. *Mützenrobbe*; na drugim miejscu podana jest tu nazwa *Klappmütze*. W *Meyers kleines Konversations-Lexikon*, Bd. 2, Leipzig-Wien 1895, jest tylko *Klappmütze* (s.v.; jest to hasło odsyłaczowe, odsyła pod *Robben* «foki»).

KILKA UWAG O DEFINICJACH W DWUJĘZYCZNYM SŁOWNIKU MĄCZYŃSKIEGO

Słownik Mączyńskiego wydany w 1564 r.¹ jest pierwszym słownikiem łacińsko-polskim wzorowanym na osiągnięciach najlepszych ówczesnych leksykografów, takich jak Calepino, Frisius, Dasypodius, Estienne, Perrotti. Dlatego *Lexicon* w porównaniu ze słownikami poprzedzającymi jego wydanie jest dużym osiągnięciem w historii leksykografii polskiej².

Jako słownik dwujęzyczny powinien w zasadzie podawać odpowiadające łacińskiemu hasłu polskie znaczenia wyrazów (definicja synonimiczna), tymczasem jednak znajdujemy w nim dość dużo definicji różnych typów. Między innymi również realnoznaczeniowych i strukturalno-znaczeniowych (oczywiście nie kwalifikowanych jako takie).

W rozważaniach tych zajmuję się tylko definicjami rzeczowników. Pisownię i wymowę przykładów unowocześniam, by zwrócić uwagę jedynie na charakter danej definicji. Jako hasło przyjmuję oczywiście objaśniany wyraz łaciński, a w definicjach biorę pod uwagę także i łacińskie sformułowania, gdyż w wypadku pominięcia zarówno łacińskiego hasła, jak i łacińskich określeń nie ukazałabym właściwej struktury słownika. Trzeba pamiętać o tym, że słownik ten przeznaczony był dla ludzi, którzy język łaciński znali i na co dzień nim się posługiwali, stąd nie bez znaczenia są wszelkie łacińskie uwagi Mączyńskiego jako leksykografa.

Bardzo częste są definicje *synonimiczne*³, tłumaczące się przede wszystkim dwujęzycznym charakterem słownika. W definicjach, których członami są synonimami bliższymi, widoczna jest dążność do wydobywania maximum odcieni znaczeniowych, do najlepszego określenia danego hasła:

antilena «podpiersień. Też jarzmo albo chomąto»

anxietas et anxietudo «pieczołowanie, staranie»

apathia «nielitościwość, niemilosierność»

¹ *Lexicon Latino-Polonicum ex optimis latinae linguae scriptoribus concinnatum*. Joanne Maczinski equite polono interprete, Regiomonti Borussiae 1564 (excudebat Joannes Daubmann).

² Zob. Stanisław Urbańczyk: „Słowniki ich rodzaje i użyteczność”. Wrocław 1967, wyd. 2, s. 11 i n.

³ Zob. o definicjach we wstępie do *Słownika języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego, T 1. A — C, Warszawa 1958, s. XXIV—XXXIV.

ascriptio «przypisanie, przywłaszczenie».

Tymi samymi synonimami, tylko w odwrotnej kolejności, określone jest hasło *attributio*:

attributio «przywłaszczenie, przypisanie»

caupo «gospodarz, karczmarz, szynkarz»

clementia «łaskawość, miłościwość, miłosierdzie»

colaphus «pogębek, policzek»

copia «dostatek, zbytek, obfitość, przemożność, moc»

divinatio «proroctwo, praktykowanie, gadanie»

divisor «dzielnik, dzielca, podzielnik»

deductor «zawodzielec, doprowadziciel»

melicus «idem quod musicus, muzyk, kantor, składacz śpiewania, śpiewak»

modius «miara żytnia, korzec, ćwiertnia albo też maldz»

pactor «jednacz, umowca, postanowiciel»

paranymphus «latine *auspex vel pronubius* — dziewosłab, żerca, swat, hochmistrz albo marszałek na swadziebnym weselu»

threnos «latine *lamentum vel planctus* — płacz, lament, narzekanie, żałoba»

vecordia «szaloność, głupota, szaleństwo»

Czasem Mączyński podaje na przykładzie zastosowanie wyrazu, np.:

castratio «oczyszczenie, okaplunienie, owałaszenie, omniszenie. Ut *castratio arborum*, ochędożenie a obranie drzew».

Dążność do precyzji widoczna jest zwłaszcza w definiowaniu haseł odnoszących się do pojęć (*apathia, clementia, copia, vecordia*). W objaśnieniu hasła *apathia* Mączyński nie umiał znaleźć odpowiedników w języku polskim, dobrał synonimy rzekome w stosunku do hasła; treści znaczeniowe łączy pewna wspólna cecha (coś w rodzaju obojętności), ale zakresy użyć nie pokrywają się ze sobą.

Większe, oczywiście, różnice znaczeniowe zachodzą wówczas, gdy Mączyński objaśnia znaczenie hasła za pomocą synonimów dalszych:

asyllia «świeboda, a bezpieczeństwo»

barathrum «wielka głębokość, piekło, przepaść»

canicies «siwość, starość, białość»

exoticus «wyznawca, wywołaniec, obcy»

grassator «gwałtownik, pustoszytel»

W tych definicjach widoczna jest pewna nieporadność, przedzieranie się przez trudności związane z tłumaczeniem czy kalkowaniem wyrazu i dobieraniem do niego synonimów, które by najlepiej objaśniły znaczenie hasła. *Przepaść, głębokość i piekło* łączył Mączyński jako wyrazy mające pewne wspólne elementy znaczeniowe (ogrom przerażający, miejsce, do którego się „wpada”), zakresy użyć w niewielkim stopniu zachodzą na siebie. Podobnie: *siwość, białość, starość* — starość jest pojęciem ogólnym, siwość i białość to tylko jedna z cech starości. *Wyznawca, wywołaniec* (synonimy bliższe względem siebie) staje się *obcym*, ale nie każdy *obcy* jest *wywołańcem*. Przy tym *exoticus* bardziej znaczył jako obcy «przyby-

wający» niż «wygnany». Gwałtownik mógł zabijać, nie musiał pustoszyć, pustoszyciel mógł zabijać i pustoszyć. Zakresy użyć obu wyrazów w dużym stopniu na siebie zachodzą.

Niekiedy Mączyński, nie mając polskich odpowiedników jakiegoś pojęcia w języku łacińskim, rozbudowuje definicję synonimiczną za pomocą dodatkowych określeń, np.:

anfractus «łomiste a nierówne drogi, skaliste a opoczyste miejsca».

Jeśli Mączyński uważa, że w definicji za mało jest synonimów, często dodaje omówienie jako bliskoznaczny odpowiednik hasła łacińskiego i podanego już polskiego synonimu, np.:

ancilla «służebnica, służebna dziewczka»

antepagmenta «valvarum ornamenta — malowanie albo jakie ochędożenie przed domem»

antipelargesis «latine beneficiorum retributio — oddanie, dobrodziejstw odsłużenie» (omówienie polskie jest przetłumaczeniem omówienia łacińskiego, będącego pierwszym objaśnieniem do hasła pochodzenia greckiego)

basilica «latine Regia, Graeci enim βασιλικήν vocant — sądowy dom, dwór» (Mączyński podaje tu nawet etymologię wyrazu)

bovile «wołowy chlew albo obora»

calopodium «patynki, a pantofle drewniane, trepki»

caprarius «koziarz, pasterz kozł»

caprile «koziarnia, stajnia kozia»

machaeropoios «kował, szabelny, miecznik»

mundus «wszelaki ubiór, piękroszki i przyprawki niewieście».

Przykłady te świadczą o dużym staraniu Mączyńskiego, by uściślić znaczenia omawianych haseł.

Staranie to widoczne jest szczególnie w formułowaniu definicji *re alieno significato*, do których z kolei przechodzimy.

Nazwy osobowe:

antipodes «podnóżnicy, ludzie, którzy na drugiej części świata przeciwko nam nogami są»

equiso «roztrucharz, objeżdżacz konny, masztalerz, który się z końmi umie obchodzić, to jest dobrze konie wieść i bósć»

matricida «mężobójca matki swej».

Definicja hasła *antipodes* jest nieporadna (podobnego określenia użył Calepin, a Mączyński po prostu przetłumaczył). Użycie wyrazu *mężobójca* w stosunku do matki świadczy o nieprzemyśleniu znaczenia wyrazu. Mączyński mógł podać tu kalkę słowotwórczo-znaczeniową wyrazu *matricida*, co przecież niejednokrotnie czynił przy innych hasłach.

Zywozne:

bombyx «robak; który jedwab przędzie»

buprestis «genus herbae. Item genus vermis — bąk, który się między trawą chowa, jadowny robak, z długimi nogami, we Włoszech; woły przed nim uciekają, a skaczą precz» (łacińska definicja powyższego hasła podaje dwa różne znaczenia, polska tylko jedno znaczenie)

burdo «muł, który się z konia i z osła rodzi»

fucus «genus apis sine aculeo sed maior ape — trąd, to jest rodzaj pszczoł niedoskonałych, które nie mają żądła, a na miód też nic nie robią» (obie definicje: łacińska i polska uzupełniają się, w polskiej M. nie podał wielkości — *maior ape* — w łacińskiej brak określenia *na miód nic nie robią*).

Nieżywotne:

anaclinterium «lectulum parvulum — łóżko male, na którym się we dnie przesypiają»
aquarium «naczynie kamienne, w którym woda stawa, jakie przy kościelech kropicidnice bywają»

bdelium «rodzaj czarnego drzewa w Batrianie»

bractea «cienka blacha bądź ze złota, ze srebra, albo z żelaza»

buxus «arbor exiqa, semper virens et tonsilis — drzewo tak rzekące i lecie i zimie zielone, podobne liście ma zielu, na którym czernice i jagody rosną, albo zielu, co je zowią suchowierzch»

Nieżywotne — nazwy narzędzi:

bidens «grabki żelazne albo drewniane o dwu zębu, którymi z woza gnój ściągają»

graphium «pióro żelazne, którym i pisać i maliwać można»

marra «rydlik ogrodny, którym ziela wykopują, albo też rzepeę na polach ryją»

phalarica «niejaka broń wojenna na kształt drzewa, żelazem obita, którą miasto strzały w kuszę wprawiają i wystrzelają»

Nazwy miejsc:

bibliopolum «buda, w której księgi sprzedają»

compluvium «miejsce gdzie się woda deszczowa z dachów, ryn i z domów ścieka»

fumarium «dymna dziura albo miejsce gdzie wino albo piwo odkisawa».

Przytoczone definicje świadczą, że w tym typie znaczeniowym Mączyński trafnie podawał cechy środowiskowe i subiektywne danego znaczenia wyrazu, natomiast znacznie więcej trudności przysparzało mu formułowanie definicji pojęć:

anagoge «latine recessus cum sensus ad altiora tollitur — postępowanie ku wyższemu a subtelniejszemu rozumieniu»

antiphrasis «gdy przeciwne wyrozumienie niżli słowa same w sobie mają»

apodixis «evidens probatio, demonstratio — jawne, jasne a niewątpliwe potwierdzenie»

democratia «id est principatus populi — panowanie pospolitego człowieka, stan a regiment rzeczypospolitej przez pospólstwo, gdy pospólstwo sobiē radne pany w rok a w rok obiera z pośrodku pospólstwa»

dies «czas do obrócenia słońca, to jest cztery i dwadzieścia godzin, noc i dzień wespolek ... Dies artificialis qui alias naturalis apud veterans. Czas od wschodu aż do zachodu słońca»

geografia «nauka popisania ziemie»

graphis «ars pingendi, quae maxime lineis constat et linearis vocatur — nauka melarska, która z linii tylko jest, to jest nie kładzie rozmaitych farb, jedno jedną»

punctus «to jest rzecz maluczka, która nie może dzielenia cierpieć dla swej małości».

Definicje te znacznie są dłuższe, niezręcznie sformułowane, jakby autor na gorąco notował myśli nie precyzując później swej wypowiedzi (definicja hasła: *democratia*, *dies*, *punctus*). Łacińska definicja «*principatus populi*» (hasło: *democratia*) nie była trudna do przetłumaczenia, Mączyński wolał jednak podać znacznie dłuższe określenie z tego względu, że

ogółowi polskiemu pojęcie to było jeszcze obce. Pewne niezręczności wi-
dać też w definicjach pojęć z aspektem czynnościowym, np.:

anacephalaeosis «latine recapitulatio — krótkie powtarzanie, przez które bywa wy-
liczono co się przedtem mówiło»

antiptosis «casus pro casu positio — gdy jeden casus a spadek miasto drugiego by-
wa wzięt w mowie»

antonomasia «gdy jedno imię własne miasto drugiego bywa wsadzone w mowie»

aphacresis «odjęcie jednej litery albo sylaby od początku słowa».

Ta ostatnia definicja jest sformułowana najpoprawniej, najbliższa
dzisiejszym definicjom: czynność wyrażona rzeczownikiem dewerbal-
nym. Dwie poprzednie definicje to samo wyrażają imiesłowem biernym
tworzącym wraz z łącznikiem orzeczenie imienne poprzedzone spójni-
kiem *gdy*. Ten typ konstrukcji składniowej był wówczas częsty.

Pozostaje jeszcze wspomnieć o definicjach realnoznaczeniowych sfor-
mułowanych na zasadzie podobieństwa desygnatów:

cephalus «ryba niejaka okuniowi podobna, ale głowę większą ma»

coralloachates «drogi kamień koralowi podobny»

hippopotamus «niejakie zwierzę w rzece egipskiej Nilusie, które szyję i grzbiet ma
jako koń».

Dwie ostatnie definicje oparte są na znaczeniach będących sumą zna-
czeń dwóch greckich podstaw słowotwórczych.

Maczyński bardzo często łączy definicję realnoznaczeniową i synoni-
miczną, np.:

andronitis «kownata albo jedna część mieszkania w domu, w którym tylko mężczyź-
ni mieszkają. Męski cymmer, dwór»

aquilegium «miejsce gdzie się wody ściekają, kałuża, też ługowisko»

auctarium «przydatek, podwyższenie myta, kiedy jeden przed drugim kupując pod-
wyższa albo naddaje więcej nad drugiego»

auripigmentum «arszenik, proch i farba, której malarze używają»

biga «kara, wóz, kolasa, w której dwa konie robią, wasężny wózek zowią drudzy»

bolis «bełt albo strzała, też kula niejaka, którą w wodę na sznurze puszczają bie-
rząc miarę jako głęboko»

caduceus «virga Mercuris — palcat albo laska, którą pokój albo przymierze zna-
mionowano, u starych heroldska różga albo laska» (w tej definicji Maczyński
posługuje się kwalifikatorem i podaje dawne znaczenie)

capillamentum «poduszka włosiona. Galericius dicitur. Przyprawki, przyprawne
włosy, to jest cudze włosy»

convictus «życie wesołe z kim, mieszkanie, towarzyszenie»

diplois «futrowane albo dwoiste odzienie, mantel, płaszczyk dwojczysty albo drugim
suknem podbity»

involucrum «wszystko to, czym nieco bywa obwijano, odziewano albo obleczono,
odziecka, błonka»

mediastinus «golota, palipiecek, to jest sługa, którego ku najpodlejszym posługom
używamy»

obolus «minca albo pieniądz mniej albo więcej niżli nasze pół grosza wążący. Obo-
lus etiam sexta pars drachmae, szоста część drachmy»

parectatus «ephoebus — młodzieńczyk, który już brodacieje, okrzos, spiczak niektó-
rzy zowią»

- pastus* «karmia, pastwa, to jest bydłęca żywność, pica»
sequester «jednacz, który bierze między stronami jednanie (definicja strukturalno-znaczeniowa), też ten, który wyrozumiawszy dobrze rzecz sądową powodnej stronej, bierze ją na się, a przed prokuratorem przedkłada i naucza jako ją sprawować, a czego się dzierżyć ma; handlownik między stroną a między prokuratorem może być zwan»
spectra «matolka, fałszywe wyobrażenie na oczy łączące tych rzeczy, o których myślimy, fantazja, obłuda»
thermae «cieplice, łaźnie, zwłaszcza, które same z siebie, z swego przyrodzenia ciepłe są».

Połączenie tych dwóch typów definicji daje możliwie dokładne objaśnienie hasła. Mączyński nie tylko stara się dobrze oddać znaczenie łacińskiego hasła, ale przez użycie wyrazów potocznych, np. *palipiecek* (nacechowany pejoratywnie) chce dać w swej polskiej części słownika możliwie najpełniejszy zestaw współczesnego mu słownictwa. W całym słowniku mnóstwo jest takich wyrazów, które późniejsze pokolenie usprawiedliwiając makaronizowanie nazywało słowami *grubymi*.

Typ definicji *strukturalno-znaczeniowej* jest najmniej typowy dla słownika dwujęzycznego, a jednak Mączyński stosuje ją często, jakby chciał do pewnego stopnia zrównoważyć część łacińską i polską w swym dziele:

- bractearius* «blechownik, który ze złota albo innego żelaza blachy kuje»
coronarius «wianecznik, który wieńce czyni»
cymbalista «cymbałownik, który cymbały czyni»
solearius «patynnik, szwiec, zwłaszcza, który patynki czyni» (tu i synonimiczna definicja).

W przytoczonych przykładach bezpośredni polski odpowiednik łacińskiego hasła jest formacją pochodną (*nom. agentis*) od podstawy słowotwórczej będącej wytworem działania i podanej w objaśnieniu. Jest też podstawa słowotwórcza i przedmiotem czynności *nom. agentis*:

- apiarius* «ten, który pszczoły opatruje, pszczelnik, bartnik» (z definicją synonimiczną).

Są to formacje denominalne.

Formacje dewerbalne również często są objaśniane:

- anagnostes* «latine lector — czytelnik, który czyta»
conductor «najemnik, który się czego podejmuje za pieniądze»
cultrarius «rzeźnik u żydów, który na ofiary bydło rzezał»
dator «dawacz, ten który dawa»
deliberator «rozmyślacz, ten, który się rozmyśla»
metoposcopus «praktykarz, z oblicza a z twarzy ludzkiej praktykujący»
monopola «kupiec, który wszelakie rzeczy zakupuje, tak iż wszyscy inisi muszą od niego kupować».

Są to formacje dewerbalne czynne. Przykładem biernej formacji dewerbalnej jest polski odpowiednik hasła w następującej definicji:

- caeso* «wyprotek, którego z żywota matczynego wypróto».

Znaczenie nom. loci podawane jest za pomocą wyrazu polskiego będącego formacją dewerbalną lub denominalną, stąd w definicji strukturalno-znaczeniowej podstawą słowotwórczą tej formacji jest czasownik lub rzeczownik:

bostar «wołownia, stajnia, gdzie woły stawają»
choragium «tanecznicza, albo inne miejsce, na którym gry albo tańce sprawują»
conventiacula (pl.) «schadzki, miejsca zwłaszcza gdzie się na biesiady schodzą»
napinae «rzepiska, gdzie takową rzepę sieją»
ossuaria «kostnica, gdzie umarłych kości kładą».

Ciekawa jest definicja hasła *bostar*. Oba synonimy objaśnione są tą samą definicją, raz podstawą słowotwórczą jest rzeczownik (*wół*), raz czasownik (*stawają*).

Objaśnia Mączyński nawet tak wyraźne pod względem znaczeniowym formacje jak te, których podstawą słowotwórczą są wyrażenia:

capitatus «wielkogłowa, która wielką głowę ma»
caelebs «beźzieniec, który żony nie ma»

W tej ostatniej definicji podstawą słowotwórczą jest wyrażenie przyimkowe, którego wprost Mączyński nie podał, ale zastąpił zdaniem *który żony nie ma*, aby jeszcze dokładniej podać znaczenie wyrazu hasłowego.

Obok definicji strukturalno-znaczeniowych można też wyodrębnić definicje luźnostrukturalne. W zasadzie powinno się je określić jako realno-znaczeniowe, bo odpowiednik polski łacińskiego hasła nie jest formacją pochodną od wyrazu, za pomocą którego się go określa, ale ponieważ wyrazy te są synonimami bliższymi podstawy słowotwórczej i mogą być użyte wymiennie, dlatego ten typ wyodrębniłam jako definicję luźnostrukturalną. Przykłady:

antropophagus «samojedz, to jest ludzie takowi, którzy drugie ludzie jedzą»
arborator «ogrodnik, winarz, ten który sad opatruje»
mensarius «mincarz, który nad rozmaitą monetą siedzi, odmieniacz monetę za monetę».

Żeby definicje te stały się strukturalno-znaczeniowymi wyraźnymi, zamiast *sad* winno być *ogród* lub *winnica*, zamiast *moneta* — *minca*.

apodyterium, latine *spoliatorium* «miejsce albo gmach, w którym się w łaźni rozbierają. Zuwadlnia»

caelator «drażyciel, ten który obraży rzeze»

forum «targ, rynek, gdzie kupują i przedawają».

Może też być odwrotnie w tym typie definicji:

crepidarius «szwiec, który patynki czyni»

dulciarius «kucharz, który łakotki warzy».

Tutaj polski odpowiednik definiowany winien być zastąpiony synonimem, który będzie formacją pochodną od podstawy słowotwórczej podanej w definicji: zamiast *szwiec* — *patylnik*, zamiast *kucharz* — *łakotnik*.

Definicję strukturalno-znaczeniową łączy też niekiedy Mączyński z innym typem definicji, by podać możliwie najwięcej określeń danego hasła, np.:

- carnificina* «miejsce, na którym gubią złoczyńce, niektórzy męczennicą zowią, gdzie ludzie męczą» (jednocześnie trzy typy definicji: realnoznaczeniowa, synonimiczna — bo *męczennica* jest synonimem *miejsca* — oraz strukturalno-znaczeniowa)
- doctor* «doktor, ten który uczy, uczytel» (definicja synonimiczna i strukturalno-znaczeniowa)
- cucullatus* «który w kapicy chodzi, kapicznik, mnich» (strukturalno-znaczeniowa i synonimiczna)
- nugivendus* «łąteczny kramarz, ten zwłaszcza, który łątki, obrazki, barwki, dziecinne a niewieście rzeczy w swym kramie ma» (definicja strukturalno-znaczeniowa obejmująca wewnątrz definicję synonimiczną)
- scutatus* «pawężnik, tarcznik, który tarczą nosi» (synonimiczna i strukturalno-znaczeniowa).

Obok wyżej omówionych definicji są w *Lexiconie* również definicje z a k r e s o w e:

- conus* «*proprie nux picea, szyszka, conus quicquid tali forma est, cokolwiek konczystego a podługowatego jest*»
- decorum* «*co komu przystoi w swej sprawie, wdzięczność, łaska, miara, obyczajność, uczciwość tak w mowie jako i w uczynkach*»
- racemus* «*gronowina i wszelkie inne owoce na kształt gron zostające jako są kaliny, trześnie etc.*».

Definicje wyrazów wieloznaczniowych są może najbardziej nieporadne i chaotyczne. Odnosi się wrażenie, że leksykografowi trudno było posegregować różne znaczenia danego hasła:

- angareia* «*niewólstwo, niewola, posty albo podwoda: to jest najemne konie od miasta do miasta rozłożone. Angario, przymuszam. Rzeczony też bywają suche dni a posty poniewolnie ustawione*»
- antlia* «*żuraw, którym sięgają wody w studni albo wiadro*»
- apex* «*wierzch głowy, też szpica, albo wierzch każdej rzeczy. Apices literarum, wierzchy u liter, a punkty nad literami różność znamionujące*»
- clibanus* «*piec palający albo też mały piecyk, w którym piekają. Też wanna miedziana nakryta, w której pasztety pieką*»
- custodia* «*jęciec, jęty. Item custodia, item miejsce gdzie strzegają, item custodia, ciemnica, miejsce, gdzie wsadzają jętce*»
- delubrum* «*bałwan, obraz, też kościół bałwochwalski, gdzie ręce, nogi, twarz, chomała, uzdy i insze rzeczy im równe wieszawano*»
- desidia* «*lenistwo, zgnilość, plugawość, niedbalstwo*»
- equuleus et equulus* «*źrebię, koniczek, źrebiec. Diminutivum ab equus. Item equuleus, miedziany albo żelazny koń, na który złoczyńce wsadzają a płomieniem ognistym umarzają*»
- haemorrhoids* «*czerwona biegunka. Też niejako rodzaj węzów bardzo jadowitych, za którego ukąszeniem krew ciecze, a nie może być zastanowiona*»
- gemma* «*perła. Też pączki na drzewie, gdy się poczynają pukać*»
- natura* «*przyrodzenie, natura, własność, moc albo siła*»
- nervus* «*żyła podkolanna. Też cięciwa, powróż, sznur* (tu znaczenia na zasadzie podobieństwa)

- occidens* «zachód słońca albo ta część nieba, która jest na zachód słońca»
perduellio «spiknienie a sprzysiężenie przeciwko radzie i rzeczypospolitej. Też odpowiednik jawny. Rajtar albo zbójca»
spira «multa significat. Primum spirae sunt revolutiones sive circuli que in seipsos non recurrunt. Krys, okrąg albo cyrkiel, którego się koniec z końcem nie schodzi, ale się tak wije wkoło jakoby powróż albo wąż. Spira item niejaki ubiór, łańcuch albo inszy klejnot, który na szyi albo na głowie bywa noszon tak się wkoło wijący, może być zwan też turecki zawój. Spira item sznur podgardlek u czapki. Spira etiam dicitur basis columnae, podpora albo noga słupia. Spira item genus operis pistorii pracel, obarzanek, begel albo kołacz, albo ciasto na ten kształt upieczone».

W tych artykułach hasłowych Mączyński określa poszczególne znaczenia najczęściej za pomocą definicji realnoznaczeniowej.

Bardziej uporządkowane są te artykuły, w których zostały wyodrębnione znaczenia przenośne i opatrzone kwalifikatorem:

- anchora* «kotwica to jest łódźny hak. Metapho: wspomóżenie, pocieszenie. Też bezpieczeńność. Item vincula quibus antennae tenentur»
angustia «ciasnota. Metapho: smutek, trapienie, troski»
balatronis «błoto albo proch, który do trzewika albo butów przystaje. Metapho: homo vilis, szuja, niczemny człek»
gula «gardziel albo droga w szyi, którą potrawa schodzi do żołądka»
gula «Metapho: obżarstwo»
panus «cewka, na którą tkacze przedziwo wija. Metaphorice spuchlina, zolzy a wszelaka nadętość, jakoby kukła, tak na szyi jako i w kroku na kształt dymion»
pistrinium «locus in quo pinsitur. Młynnica, młyn, gdzie żyto przedtem w stępach tłuczono. Nunc possumus vocare piekarnia albo młyn. Et metaphorice niewola, ciężka służba albo ciężki, pracowity, a nieznośny urząd» (poza znaczeniem przenośnym podano również znaczenie dawne).

Na podstawie tego bardzo pobieżnego przeglądu definicji słownikowych Mączyńskiego (oczywiście on sam nie był świadomy istnienia typów definicji) trzeba stwierdzić, że na tym etapie leksykografii opracowanie dobrego słownika dwujęzycznego konieczne wymagało zastosowania różnych typów definicji, że droga obrana przez Mączyńskiego była jak najbardziej właściwa. Metoda ta zresztą do dziś stosowana jest w słownikach dwujęzycznych, choć obecnie nie zachodzi potrzeba wprowadzania aż tak dużej liczby definicji realnoznaczeniowych lub strukturalno-znaczeniowych. W wieku XVI trudno było poprzestać na objaśnianiu danego hasła łacińskiego najczęściej za pomocą synonimów polskich, gdy należało użytkownikom słownika podać przede wszystkim dokładniejsze określenie znaczeń wyrazów polskich. Stąd troską Mączyńskiego było takie opracowanie polskiej części słownika, by korzystający z niego mógł z łatwością tłumaczyć z jednego języka na drugi, a także, by miał pewne pojęcie o własnym języku i jego bogactwie, a nawet pięknie, o czym sam mówi we wstępie do dzieła⁴.

⁴ Jan Mączyński: *Léxicon latino-polonicum*, wstęp.

Należy też podkreślić, że poza potknięciami nieuniknionymi wówczas, zwłaszcza w formułowaniu definicji realnoznaczeniowych czy w niedokładnym przetłumaczeniu wyrazu łacińskiego, na ogół definicje w *Lexiconie* Mączyńskiego są poprawne, jasne, a różne ich typy raczej dobrze dostosowane do znaczenia definiowanego hasła.

Dzięki tym zaletom *Lexicon* spełnił podwójne zadanie: z jednej strony zadanie słownika dwujęzycznego przez jak najdokładniejsze podanie znaczeń wyrazów łacińskich, a nawet greckich, z drugiej strony spełnił zadanie słownika jednojęzycznego przez pionierską pracę autora polegającą na określaniu znaczeń wyrazów polskich za pomocą różnego rodzaju opisów, które dziś nazywamy definicjami słownikowymi.

O PRZENOSZENIU WYRAZÓW

Byłem przesadnie uczulony na poprawne przenoszenie wyrazów, czy ściślej przenoszenie części tekstu do następnego wiersza. Nauczono mnie w szkole, że w języku polskim — w odróżnieniu od innych języków — nie wolno przenosić tekstu w ten sposób, by część sylaby pozostała w jednej linijce, druga zaś część znalazła się w drugiej. Zasada ta jako nadrzędna jest na pewno ogólnie respektowana.

Zresztą ściśle podział na sylaby nie obowiązuje zupełnie konsekwentnie. Robi się ustępstwa na rzecz zasady etymologicznej. Nakazuje się więc dzielić *ob-orać*¹ — wbrew podziałowi na sylaby, by nie rozdzielać wyraźnie odczuwanego przedrostka. Pozwala się dzielić *ad-iunkt*, bo to oddaje budowę słowotwórczą obcego wyrazu, choć linijka tekstu polskiego zaczynająca się od liter *iu* wygląda co najmniej dziwnie.

Nie zamierzam jednak kwestionować tych przepisów. Choć nie wydają mi się najszcześniejsze, przestrzegam ich jako człowiek zdyscyplinowany. Uczę więc uczniów zasady, według której mają przenosić *oduczyć* i *roz-ochocony*. Gdyby któryś w wypracowaniu przeniósł *ad-iustacja*, nie podkreśliłbym tego jako błąd.

Wątpliwości powstają w innym miejscu. Stojąc na stanowisku litery prawa, nie powinienem się mianowicie godzić na przenoszenie typu *starosłowiański*, *starosło-wiański* albo *starosłowiań-ski*, bo przepisy zawierają nakaz: „Wyrazy rodzime niewątpliwie złożone dzieli się w miejscu złożenia, np. *noc-leg*, *kraj-obraz*, *drapi-chrust*, *staro-słowiański*, a nie *no-cleg*, *krajo-braz*, *drapich-rust*, *staros-łowiański*”². Przykłady każałyby się domyślać, że autorom chodziło tylko o to, by nie dołączać jednej litery (a może tylko jednej spółgłoski, jak w wypadku przedrostków) z jednej części słowotwórczej do drugiej. Ale sformułowanie przepisów pozostaje sformulowaniem, więc powinno być jasne i jednoznaczne. Dosłownie rozumiał podobny przepis także Nitsch, który pisał w r. 1936: „A skoro wyrazy obce dzieli się w zasadzie tak samo, to i wszystkim z codziennej prasy znane złożenia w rodzaju *aeroplanu* czy *aerostatyki* powinny mieć oddzielone całe *-planu* czy całe *-statyki*”³. W sposób rygo-

¹ Dalej przytoczę w całości fragment przepisów dotyczący przenoszenia wyrazów.

² „Pisownia polska. Przepisy — słowniczek”. Wydanie XII. Wrocław 1957; s. 28.

³ K. Nitsch: „Pisownia polska. Przypisy, słownik”. Lwów 1936; s. 41.

rystyczny (dozwolone tylko jedno miejsce przeniesienia w wyrazie) rozumiał wymieniony przepis zapytany o to doświadczony redaktor poważnego wydawnictwa. Nie ulega wątpliwości, że w tym wypadku sformułowany jest zakaz nie mający pokrycia w tradycji polskiego piśmiennictwa. I nie wiadomo na pewno, jak ten nakaz interpretować.

Z częstkami słowotwórczymi rodzimymi też bywa kłopot. Pewien mój uczeń przeniósł *chciałbym*. Czy być tolerancyjnym i potraktować *-bym* jako przyrostek, do którego można przecież przy przenoszeniu dołączyć spółgłoskę; czy rygorystycznym i traktować *chciałbym* jako złożenie? Osobiście stałbym na pierwszym stanowisku, głównie dlatego, by wszelkie wypadki nie rozstrzygnięte jednoznacznie traktować jako mogące być interpretowane dwojako.

Jak się potem okaże, stanowisko takie, przynajmniej w kwestii przenoszenia wyrazów, nie może być przyjęte, bo doprowadzi nas do bardzo dalekich konsekwencji.

Wróćmy więc do tematu głównego, tj. do zasady niedzielenia sylab.

Zasady wyróżniania sylab nie są, rzecz jasna, ściśle ustalone, niektóre spółgłoski mogą być bowiem z równym powodzeniem dołączane artykułacyjnie do sylaby, której elementem konstytutywnym jest samogłoska poprzednia, oraz do sylaby, której elementem konstytutywnym jest samogłoska następna — przepisy przenoszenia są wtedy tolerancyjne. W wielu jednak wypadkach zaliczenie spółgłoski do określonej sylaby jest zupełnie jednoznaczne. W każdym więc razie do sylaby następnej należą wszystkie spółgłoski rozpoczynające wyraz, które nie mogą być artykułacyjnie dołączone do ostatniej sylaby poprzedniego wyrazu.

Podobnie tylko rozpoczynać nową sylabę mogą niesylabiczne przyimki *w*, *z*. Stojąc na tym formalnym stanowisku, przez długi czas wytykałem swym uczniom jako błędne pozostawianie *w* i *z* na końcu linijki.

Dopiero przypomnienie starego zalecenia redakcji „Języka Polskiego” przez wydawnictwo „Polszczyzna piękna i poprawna” zasiało w moim sercu ziarno wątpliwości. Przytoczę to zalecenie w całości:

a, *w* na końcu wiersza
[„Język Polski” XXX 1950, 143]

[Pytanie] Dr Zbigniew Żabiński żali się, że w naszej ortografii obowiązuje zwyczaj niezostawiania na końcu wiersza wyrazów jednoliterowych, wskutek czego np. w połączeniu *a w szczególności* albo się musi tam zmieścić *a w szcze-*, albo zostawić tyle miejsca wolnego. Daje przykłady, że zasady takiej nie ma w angielskim, francuskim, włoskim, rosyjskim, czeskim, szwedzkim.

[Odpowiedź] W rzeczywistości o takiej zasadzie, tj. o niedopuszczalności zostawiania na końcu wiersza spółników *a*, *i* lub przyimków *o*, *u*, nigdyśmy nie słyszeli. Była tylko — nie możemy w tej chwili sprawdzić, czy kiedy wyraźnie ogłoszona — zasada niezostawiania tam nie tworzących osobnej sylaby przyimków *z*, *w*, ale i ta dziś nie obowiązuje, skoro nie ma o niej ani słowa w przepisach ortograficznych⁴.

⁴ „Polszczyzna piękna i poprawna. Porady językowe”. Wybrał i opracował St. Urbańczyk. Wrocław 1963; s. 477.

A więc nie miałem racji. Reprezentowałem przesadną pedanterię i formalizm, choć zdawałem sobie sprawę z tego, że większość wydawnictw książkowych i periodycznych, niejednokrotnie bardzo starannych, jej nie respektuje. Racji mogłem nie mieć tym bardziej, że przepisy mówią o „dzieleniu wyrazów”, a w wypadku przeniesienia typu *w/wodzie, z/so-kiem* rozdziela się sylabę, ale nie wyraz.

Ale redakcja „Języka Polskiego” nie przypominała sobie, gdzie i kiedy był taki przepis. Odpowiedź na tę kwestię znalazłem dopiero niedawno, gdy analizowałem większą grupę (ok. 600) błędów ortograficznych popełnionych przez moich uczniów. Sięgnąłem wtedy ponownie do obowiązujących wydawnictw ortograficznych, potem zaś do wydawnictw dawnych. Przypomnienie starego przepisu nie byłoby niczym godnym uwagi. Jednak przy okazji stwierdziłem rzecz, która mnie zaskoczyła: nasze przepisy ortograficzne nie zawierają tradycyjnej i ogólnie stosowanej zasady rozdzielania sylab przy przenoszeniu wyrazów.

Przepisy omawiają bowiem wiele kwestii szczegółowych, nie ujmując sprawy ogólnie. Tak wygląda interesujący nas fragment w mającej najbardziej urzędowy charakter „Pisowni polskiej” (wyd. XII):

Dzielenie wyrazów

A. Nie dzieli się:

1. wyrazów jednozgłoskowych, np. *wstręt*;

2. połączeń liter oznaczających jedną głoskę, a więc:

a) *ch, cz, sz*, np. *du-chem, to-czyć, du-sza*; *dz, dż, rz* można dzielić, jeżeli się je wymawia jako dwie głoski, np. *od-zywać się, od-żabienie, mar-znie*, ale tylko na *no-dze, jeż-dżę* (lub *je-żdżę*), *mo-rze*;

b) grup: litera dla spółgłoski + litera *i* + litera dla samogłoski, np. *cia-sto, mie-li, nio-sła*. Co do wyrazów obcych por. B 4.

3. dwugłosek *au, eu*, np. *au-tor, pau-za, Ceu-ta*; można dzielić *a-u, e-u* wymawiane jako dwie głoski, co jasne w wyrazach rodzimych, jak *na-uka, chude-usz, nie-ufny*, a z obcych w rzeczownikach na *-e-um*, które mają w l. mn. *-e-a*, np. *muze-um, muze-a*, ale trudne w innych obcych, np. tylko *Eu-rydyka*, ale *Orfe-usz*. Decyduje wymowa.

B. 1. Jedna spółgłoska między samogłoskami należy do następnej części wyrazu, np. *nie-na-ru-sze-nie*.

2. Grupę liter dla spółgłosek — poza przedrostkami — można dzielić albo dowolnie, albo całą przenieść do następnego wiersza, np. *is-kra, isk-ra* lub *i-skra*, ale nie *iskr-a, Fra-ncja, Fran-cja, Franc-ja*, ale nie *Francj-a*. Tylko dwie jednakowe litery dla spółgłoski muszą być rozdzielone, np. *pan-na, pan-nie, idyl-la, las-so*, nie *pa-nna...*

3. Z wyraźnie odczuwanego przedrostka rodzimego zakończonego na spółgłoskę (*bez-, ob-, nad-, od-, pod-, przed-, przeciw-, roz-, wez-,* lub *wes-*) nie przenosi się spółgłoski do następnej części wyrazu, ani też nie dodaje się do takiego przedrostka spółgłoski oddzielonej od następnej części wyrazu (nie wolno więc dzielić ani *przedstawić, o-borać, ro-zstrzygnąć, na-jlepiej*, ani *przeds-tawić, rozst-rzygnąć*); do wyraźnego przedrostka zakończonego na samogłoskę (*do-, na-, o-, po-, przy-, u-, wy-, za-*) nie przyłącza się spółgłoski następnej (nie wolno tedy dzielić *pop-rzez, nap-rzód, zas-tawić, powyst-rzelać*). Wyrazy rodzime niewątpliwie złożone dzieli się w miejscu złożenia, np. *noc-leg, kraj-obraz, drapi-chrust, staro-słowiański*, a nie *no-cleg, krajo-braz, drapich-rust, staros-łowiański*.

4. Wyrazy obce dzieli się według tych samych prawideł, co rodzime. [...] ⁵.

Uczniowie moi przenieśli wyrazy następująco: *własno-ść, ludno-ść, partyza-nt, jaki-mś*. Nie ma przepisu, który by tego zabraniał. Podobnie, choć nie wolno podzielić wyrazu *wstręt*, nie ma przepisu zabraniającego przenoszenia *wst-rętny, ws-trętny* albo *w-strętny*. Tymczasem takie dzielenie rażąco kłóci się z polską tradycją i ogólnymi zwyczajami.

Te same, co „Pisownia polska”, zasady przytacza w dosłownym brzmieniu nowsza „Ortografia polska” ⁶. Podręcznik szkolny Jodłowskiego i Taszyckiego ogranicza się do dokładnego zreferowania tych zasad, przy czym uzupełnia jedno oczywiste przeoczenie (niedzielenie *dź*, np. w wyrazie *niedźwiedź*) ⁷. Podobnie jest w pełniejszym *Słowniku ortograficznym* tych samych autorów ⁸.

Sytuacja ta jest chyba skutkiem tego, że zasada przenoszenia wyrazów sylabami została po prostu zgubiona w uchwałach Komitetu Ortograficznego z r. 1936, czego dowodem jest ich tekst opublikowany w XI wydaniu „Pisowni polskiej” ⁹. Zresztą zgubiono ją już wcześniej — w uchwale Polskiej Akademii Umiejętności, która była podstawą sformułowań Komitetu Ortograficznego ¹⁰. Tekstów obu tych uchwał nie przytaczam dla oszczędności miejsca — stanowią one bez wątpienia wcześniejsze redakcje przepisów obowiązujących obecnie.

Dlaczego coś takiego mogło się w ogóle zdarzyć?

Prawdopodobnie dlatego, że w jeszcze dawniejszych ujęciach sprawa dzielenia wyrazów była bardzo skomplikowana. Przed r. 1931 proponowano wiele rozwiązań, dotyczących przede wszystkim zagmatwanej kwestii rozdzielania grup spółgłoskowych. W tej sytuacji każdy z opiniodawców, referentów i czytelników był uczulony na szczegóły. W kwestii zasadniczej — oparcia reguł przenoszenia wyrazów na podziale na sylaby — panowała zgoda. Toteż każdy traktował ją jako oczywistą i nikt nie zwrócił uwagi na to, że pominięto ją w przepisach, choć z pewnością uzupełniono by brak, gdyby go tylko dostrzeżono. Przecież przepisy miały rozwiązywać nie tylko aktualne wątpliwości, lecz również służyć w przyszłości — nauczycielom, uczniom, których można zresztą uważać za wychowanych w polskiej tradycji piśmienniczej i intuicyjnie

⁵ „Pisownia polska”. Wyd. XII. s. 27—28.

⁶ TMJP: „Ortografia polska”. Wrocław 1968; s. 46—48.

⁷ S. Jodłowski, W. Taszycki: „Zasady pisowni polskiej i interpunkcji ze słownikiem ortograficznym”. Wyd. XVI. Wrocław 1968; s. 103—106.

Z tym *dź* to w ogóle dziwna sprawa. Przeoczono je w uchwale i choć przeoczenie wskazał już Nitsch w swej „Pisowni polskiej” z r. 1936 (s. 42), to błędu nie poprawiono w r. 1956, gdy była po temu okazja.

⁸ S. Jodłowski, W. Taszycki: *Słownik ortograficzny i przepisy pisowni polskiej*. Wyd. VII. Wrocław 1968; s. 147—151.

⁹ „Pisownia polska. Przepisy — słowniczek”. Wydanie XI. Kraków 1936; s. 33—34.

¹⁰ K. Nitsch: *Nowe zasady dzielenia wyrazów, uchwalone na Walnym Zgromadzeniu Polskiej Akademii Umiejętności 12 czerwca 1931*. „J. P” XVI, 1931, s. 97.

uznających regułę przenoszenia sylabami, a także cudzoziemcom, dla których reguła ta nie jest bynajmniej oczywista.

Gdy przygotowywano uchwałę z r. 1936, nie zatrzymywano się już chyba nad kwestią przenoszenia wyrazów. Uznawano ją za rozstrzygniętą. Kucala¹¹ zwraca uwagę na to, że w latach 1932—1968 nie ukazał się żaden artykuł na ten temat w „Języku Polskim”.

Nic przeto dziwnego, że nie dostrzegł przeoczenia także Nitsch, choć zdawał sobie sprawę z innych niedostatków nowo uchwalonych przepisów¹².

Nie dostrzegli go Jodłowski i Taszycki ani Klemensiewicz, który przygotowywał XII wydanie „Pisowni”, oraz członkowie Komisji Kultury Języka PAN, która je zaakceptowała. Nie dostrzegł go również Kucala, autor jedyne go chyba wydrukowanego później obszerniejszego artykułu o dzieleniu wyrazów, poświęconego zresztą wyłącznie rozbijaniu grup spółgłoskowych¹³.

A dawniejsze przepisy ortograficzne przenoszenie wyrazów sylabami uważały za zasadę podstawową. U Łosia mamy według uchwały Akademii Umiejętności z r. 1920:

Przenoszenie części wyrazów do następnego wiersza

I. Wedle zasady etymologicznej oddziela się składowe części wyrazu złożonego, o ile stanowią zgłoskę [...]

II. W innych razach wedle zasady fonetycznej:

1. Między samogłoskami [...]

2. Przenosimy zgłoskę, zaczynającą się od pojedynczej spółgłoski lub grupy spółgłosek, od której zwykle się zaczynają wyrazy¹⁴.

Kryński ujmował rzecz następująco:

Dzielenie wyrazów na części i ich przenoszenie

§ 84. Wyrazy jednozgłoskowe nie rozdzielają się wcale na części ani w wymawianiu, ani w piśmie [...]

Przyimków z *i* w, zarówno oddzielnych jak i użytych jako przedrostki, nie stawia się samych na końcu wiersza, lecz przynajmniej z pierwszą zgłoską wyrazu, do którego należą, albo też przenosi się je do wiersza następnego wraz z tymże wyrazem; np. z *oj-cem*, w *książ-ce*, *zro-bić*, *spo-strzec*, *po-wstać* itp.

§ 85. Wyrazy dwu- i więcejzgłoskowe rozdzielają się na części zgodnie z wymawianiem, czyli podług zgłosek wymowy (ob. Gram. § 17). Dzielenie wyrazu nie przedstawia trudności, jeśli zgłoski wymowy kończą się na samogłoski [...]

Inaczej rzecz się ma, gdy po spółgłosce następuje dwie lub więcej spółgłosek. [...] ¹⁵.

¹¹ M. Kucala: *Dzielenie wyrazów — przepisy ortograficzne a praktyka*. „J.P.” XLIX, s. 154.

¹² K. Nitsch: *„Pisownia polska. Przepisy, słownik”*. Lwów 1936; s. 39—41.

¹³ M. Kucala: op. cit. s. 154—157.

¹⁴ J. Łoś: *„Zasady ortografii polskiej i słownik ortograficzny według zasad Polskiej Akademii Umiejętności”*. Wyd. IV. Lwów 1927; s. 50.

¹⁵ A. A. Kryński: *„Pisownia polska. Prawidła i ich uzasadnienie”*. Wyd. VI. Warszawa 1919; s. 64—65.

I dopiero w tym miejscu zaczynały się komplikacje. Przepisy początkowe były jasne. Przy okazji widać, kiedy i u kogo istniał zakaz zostawiania na końcu wiersza przyimków *w* i *z*. Ten zakaz trzeba uznać z pewnością za przestarzały.

Ale czy i inne zasady, o których „nie ma słowa w przepisach ortograficznych”, nie obowiązują? A przenoszenie sylabami?

Rzecz potraktowałem jako przeoczenie przepisów. Lecz może się myłę? Może to opuszczenie świadome, istotne uproszczenie pogmatwanych spraw ortograficznych, redukcja zbyt dużej liczby zakazów? Przecież w namiętnych bojach o przenoszenie wyrazów punktem przełomowym był głos rozsądku orientalisty Kowalskiego, który „zapytał, czyby w tym czysto technicznym zagadnieniu nie można wprowadzić swobody”¹⁶. Może wtedy Komisja Językowa świadomie zrezygnowała z podstawowej zasady tradycyjnej?

Może. Jeśli tak jest, muszę pozwalać uczniom przenosić *wolno-ść* i *ws-trętny*.

Proszę zatem Redakcję o odpowiedź.

*

Myszę, że jeżeli nawet, jak się okazuje z wywodów autora, a co przyznam się było dla mnie niespodzianką, nie ma przepisu, który by wyraźnie zabraniał przenoszenia typu *własno-ść*, *ludno-ść*, *jaki-mś*, nie warto informować uczniów o tym, że wolno wyrazy w ten sposób przenosić. Jeżeli przepisy wielokrotnie się odwołują do pojęcia przedrostka i uznają za niedopuszczalne przenoszenie typu *ro-zstrzygnąć*, to analogiczne rozumowanie należy zastosować do przenoszenia wyrazów, w których skład wchodzi przyrostek. Rygorystycznie rzecz ujmując, z tego by wynikała niedopuszczalność oddzielania *-ść* od *-o-* w wyrazie *własność*, ale jeszcze nie niemożliwość przenoszenia według wzoru *własno-ść*, bo w tym wypadku właściwym przyrostkiem (formantem tworzącym rzeczownik od przymiotnika) jest *-ość*. Ale w zakresie przenoszenia typu *własność* lub *wła-sność* należałoby według mnie zachować możliwość dowolnego wyboru, bo podziały sylabiczne ze słotwórczymi w wyrazach polskich tak często się z sobą krzyżują, że nie można sformułować zasady w sposób kategoriowy. Dobrze, że Autor tak dokładnie rozważył omawiane przez siebie zagadnienie, bo to się zawsze może przydać formułującym przepisy. W stosunku do uczniów jednak należy zachować dyktowany względami praktycznymi umiar, pouczając ich o wypadkach dających się ujmować w sposób najprostszy, nie kładąc nacisku na formalnie możliwe odstępstwa od ogólnych reguł, jeżeli zaś takie od-

¹⁶ K. Nitsch: *Nowe zasady* [...] — op. cit. s. 100.

stępstwa wyjątkowo w jakimś tekście uczniowskim się zdarzą, można je traktować wyrozumiale.

Autor wspomina o tym, że w latach 1932—1968 nie ukazał się w „Języku Polskim” żaden artykuł dotyczący kwestii przenoszenia wyrazów. W zeszytach 3 i 4 „Poradnika Językowego” z r. 1935/36 ogłosiłem artykuł pt. *Przymiotniki złożone w języku polskim i ich pisownia*. W tym stopniu, w jakim wchodzi w grę kwestia pisowni, artykuł ten pozostaje w związku z tematem omawianym przez Autora.

W. D.

Jan Miodek

KAMEROWAĆ I KAMEROWANY

Współczesne słowniki języka polskiego rejestrują czasowniki *filmować* i *fotografować*. *Filmować* — to «robić zdjęcia filmowe, nakręcać film» (*Słownik języka polskiego* pod red. W. Doroszewskiego. T. II, Warszawa 1960, s. 875), *fotografować* «wykonywać fotografie, zdjęcia za pomocą aparatu fotograficznego» (tamże, s. 956). Od tych dwóch czasowników można, naturalnie, utworzyć imiesłowy *(s)filmowany*, *(s)fotografowany*.

Tak oczywiście brzmiący wstęp przytoczyłem dla lepszej konfrontacji wyżej wymienionych form z ciekawym, moim zdaniem, neologizmem, który w zeszytcie ucznia szkoły podstawowej przyniosła do domu pewna nauczycielka wrocławska.

Do szkoły tej przyjechali reporterzy telewizyjni. To niecodzienne wydarzenie było tematem sprawozdania, zadanego uczniom na pracę domową. Jeden z chłopców użył w nim następującego zwrotu: „Byli u nas panowie z telewizji i zostaliśmy *skamerowani*”. Nauczycielka stanęła przed trudną decyzją. Form *(s)kamerować* i *(s)kamerowany* nie rejestruje przecież żaden słownik języka polskiego. Ale z drugiej strony?... Jeśli możemy być *(s)filmowani* czy *(s)fotografowani*, to w końcu dlaczego nie możemy być *(s)kamerowani*? — myślał zapewne wrocławski uczeń. Czy jego rozumowanie było logiczne?

— Najglówniejszym powodem tworzenia nowych wyrazów jest potrzeba nazwania przedmiotu lub pojęcia nowego (por. H. Kurkowska: „O nowym słownictwie polskim”. Warszawa 1954). Czy neologizm jest potrzebny?, czy pozwala nam ściślej, precyzyjniej nazywać pewne przedmioty czy pojęcia?, czy jest zrozumiały?, czy mieści się w systemie słowotwórczym języka? — to kolejne pytania, które należy skierować pod jego adresem.

Wydaje się, że forma stworzona przez wrocławskiego ucznia odpowiada kryterium poprawności językowej neologizmów. Kamera telewizyjna jest niewątpliwie jednym ze znaków naszych czasów. Lecz jak nazwać czynność kamery telewizyjnej, która „chwytą” daną osobę lub przedmiot na gorąco i momentalnie przekazuje ich obraz w świat? To nie jest przecież *(s)filmowanie*, osoba czy przedmiot nie są *(s)filmowane*! Nawet przy jednoczesnym zapisie filmowym będzie to filmowanie dla potrzeb tele-

wizji, ale nie dla widzów, oglądających program w danym momencie. Stosowany przez pracowników telewizji termin *miksowanie* (oznaczający przede wszystkim łączenie dwóch obrazów w jeden) brzmi dla laików zupełnie obco i niezrozumiale. Rozmawiałem z pracownikami telewizji. Chyba istnieje potrzeba nazwania czynności wykonywanej przez kamerę telewizyjną i chyba właśnie czasownik *kamerować* istotę jej oddaje najlepiej. Jest to neologizm zrozumiały, tematem swym wskazujący na wykonywaną czynność (*kamera* — *kamerować*, tak jak *numer* — *numerować*, *wiosło* — *wiosłować* itp.), mieszczący się w systemie słowotwórczym języka polskiego, utworzony ponadto przez analogię do bliskich mu znaczeniowo form *filmować*, *fotografować* (por. *dzianina* — utworzona przez analogię do *tkaniny*). Utworzony od niego imiesłów *(s)kamerowany* oznaczałby «osobę lub przedmiot, których obraz przekazywany jest na ekrany telewizorów za pomocą kamery telewizyjnej». Te jeszcze potencjalne formy mają szanse zadomowienia się w naszym języku.

Eugeniusz Śluszkiewicz

HOKUS-POKUS

Najsłuszniej w świecie prof. Doroszewski otrzymał niedawno zaszczytne odznaczenie państwowe za wieloletnią działalność naukową, m.in. czy przede wszystkim za pracę nad 11-tomowym nowym *Słownikiem języka polskiego* (1958—1969), dzieło wspaniałe, które będzie oddawać usługi całym pokoleniom. Jest to owoc pracy sumiennej a żmudnej, jednocześnie zaś zespołowej, bo minęły czasy — już chyba bezpowrotnie — kiedy się na takie dzieła mógł porywać jeden człowiek, E. Littré czy S. B. Linde, albo nawet dwu, jak bracia Grimmowie. Lecz jako autor zasadniczej koncepcji, opracowanej bardzo szczegółowo, i kierownik całego sztabu pracowników naukowych prof. Doroszewski w zakresie leksykografii polskiej ma trwale zasługi.

Tytuł mojej notatki nie ma też bynajmniej na celu kwestionowania tego bezspornego i oczywistego faktu: nie odegrała się tu żadna sztuczka magiczna. Pragnę tylko zwrócić wyraźnie uwagę na błędny moim zdaniem wywód etymologiczny zamieszczony pod hasłem *fokus* w tomie II (1960) w połączeniu *fokus pokus* (punkt 1). Zastrzegam się przy tym, że zauważając różnego rodzaju drobne błędy w podawanych etymologiach winą za nie obarczam nie redaktora naczelnego — skoro, jak wiadomo od czasów rzymskich, *minima non curat praetor* — lecz przede wszystkim współpracowników, których obowiązkiem było dopilnować właśnie takich szczegółów (nieraz są to po prostu błędy druku).

Ze się i w tym wspaniałym dziele zdarzają błędy i przeoczenia, wynika jasno z faktu, że zaszła potrzeba dodawania do różnych tomów sprostowań (*Errata*, na końcu). I tu niestety ja się też muszę z żalem do czegoś przyznać. Mianowicie moje nazwisko figuruje w wykazie recenzentów we wszystkich tomach z wyjątkiem dwu pierwszych, lecz tak się niestety złożyło, że mi się nie mógł podejmować zaproponowanej mi odpowiedniej pracy z powodu krótkości terminu wyznaczonego przez Redakcję (byłem wówczas przeciążony innymi obowiązkami nadprogramowymi). Obiecywałem sobie potem nieraz, że i to kiedyś nadrobię, a choć minęło od owego czasu 10 lat, nadal żywię taki zamiar, bo mi pozostaje już tylko rok do przejścia na emeryturę. Tymczasem zaś pragnę dla okazania swej dobrej woli ogłosić poniższe uwagi, ponieważ mi się ta poprawka wydaje jedną z ważniejszych i potrzebniejszych.

Według mnie jest rzeczą oczywistą, że punkt 1. i 2. hasła *fokus* dotyczą nie jednego wyrazu, lecz dwu homonimów; innymi słowy: od łac. *focus* pochodzi tylko termin fizyczny (pod 2.), natomiast «sztuczka kuglarska» to wyraz zapożyczony żywcem z rosyjskiego, co prof. Doroszewski przecież doskonale wie, a co inni w razie potrzeby mogą sprawdzić zaglądając do jakiegokolwiek słownika rosyjsko-polskiego. Moje zdanie potwierdza też M. Vasmer, bo w tomie III swego słownika etymologicznego rosyjskiego (*Russisches etymologisches Wörterbuch*), w zeszycie 21 (1956) rozróżnia 2 homonimy ze znaczeniem: «Brennpunkt» i «Taschenspielerkunststück», przy czym drugi wywodzi — jak i ja — z niemieckiego *Hokus Pokus*, powołując się w nawiasie na Goethego. Już też stary SWO Karłowicza (1894—1905) miał na s. 213/214 hasło *Hokus pokus* z pewnymi objaśnieniami, zakończonymi przytoczeniem wyrazu rosyjskiego; jego uwagi można sobie uzupełnić np. według odpowiedniego hasła słownika etymologicznego F. Klugego z r. 1921 (9 wydanie), potem z r. 1934 (11 wydanie) itd. — aż do r. 1960 co najmniej (18 wydanie; wyszły bodaj jeszcze dwa nowsze, których niestety nie mam), gdzie jednak hasło wydatnie skrócono. Muszę tu też zaznaczyć, że wywód podany w t. III Słownika, tj. z łacińskiego *hoc est corpus* (domyślne opuszczone: *meum* — E. S.), kwestionowano dawno; już Kluge z r. 1921 określał go jako niezbyt prawdopodobny, „ponieważ kuglarze niełacno by się byli ośmielili na takie bluźnierstwo”, zresztą najstarsza (1563) zaświadczona postać brzmiała: *hax pax max Deus adimax* i przypominała formacje takie jak *Kribskrabs* mimo wyglądu z pozoru łacińskiego; zniekształcenie 2 zgłosek początkowych dało w Anglii *hocospocos* (1624), przy czym desygnatem się stał już sam kuglarz jako używający owej formułki. Tak np. według Klugego z r. 1960 (podaję tylko to, co najważniejsze). A dodać można, że *Concise Oxford Dictionary* w wydaniu 4 (1956) objaśnia *hocus-pocus* jako fikcyjną (lub: rzekomą) łacinę XVII-wieczną („17th-c. sham L”). Na marginesie: z tego złożenia wyabstrahowano czasownik *hocus* «nabierać, bujać», pisany też potem *hoax* (por. też J. Tuwim: „Pegaz dęba”, 1950, s. 300 przypis 1; a na s. 162—163 opowiada, jak to on sam „hoaxed” pewną Hawajkę oczarowawszy ją mirażem polszczyzny brzmiącej z hawajska, a potem zniecka wyrecytowawszy 3 wiersze Mickiewicza najeżone spółgłoskami, między dwoma innymi następujący: „Lub hak przerznąć, w brzeszczocie nie zrobiwszy szczyby”, co ją wprawiło w przerażenie i zmusiło do spontanicznego określenia go jako „hokeli” [zniekształcenie angielskiego nomen agentis *hoaxer*]).

Wracając do rzeczy, uważam, że należało objaśnienie sformułować mniej więcej tak: dawny wywód od łac. *hoc est corpus (meum)* uznano za nieprawdopodobny, a postać pierwotna tej formułki to pseudolacina.

I na zakończenie dla usprawiedliwienia powyższej notatki: w erratach do t. II Słownika (t. III—IV) nie znalazłem hasła *fokus*.

Przy okazji sprostowania prof. Słuszkiewicza dodaję od siebie sprostowanie błędu korekty, który zauważyłem za późno — na s. 1191 tomu VIII, a który nie został umieszczony w liście *Errata* w tomie następnym. Hasło *sztyletowość* mające kwalifikator *indyw.* zilustrowane jest przykładem ze Słowackiego („Król-Duch”, 19): „Dusza (...) z tych głębin... gdzie ćma niewidzialnych lata jasnoczerwonych słów, sztyletowości szepczących... brała straszną siłę sztychu”. Niestety zamiast ostatniego słowa (tworzącego rym z zakończeniem wiersza następnego: „i tę jak piorun ciskała po cichu”) w tekście wydrukowanym czytamy: „sztyletu”, co wymaga poprawienia.

W. D.

Piotr Bąk

TEKSTY GWAROWE Z PAŃNOWA WIELUŃSKIEGO

Pańnow znajduje się w odległości 10 km na południowy wschód od Wielunia na trasie Wieluń—Częstochowa. Jest to duża wieś z przysiółkami, licząca 1.750 mieszkańców.

We wsi znajduje się ośmioklasowa szkoła, kościół parafialny, GRN i GS z trzema sklepami.

Ludność żyje z rolnictwa, pracy na kolei i w hucie Ozimek niedaleko Opolą. Wieś jest od 14 lat zelektryfikowana, w każdym niemal domu znajduje się radio, a w 16 — telewizory. 20 uczniów dojeżdża do szkół średnich w Wieluniu.

W tej sytuacji gwara ustępuje przed językiem kulturalnym. Posługują się nią starsi i dzieci w wieku przedszkolnym.

Gwara mieszkańców Pańnowa ma cechy południowej części dialektu centralnego i północnej Małopolski. I tak:

1. Zachowuje konsekwentnie pochylone *a*, które tu brzmi jak *o*: *bioty*, *dom «dam»*, *dziod*, *trowa*, *ładno panna*.

2. Samogłoski *o*, *ó* *u* w nagłosie są zawsze labializowane: *ɤoko*, *ɤun «on»*, *ɤumar*.

3. Ścieśnione *e* brzmi jak *ɤ* (*i*): *chɤyb*, *biɤlić*, *ɤydzic*, *gnif*, *grɤych*, *mɤyko*. Taki sam efekt daje *e* przed *N*, przy czym między miękkimi brzmi jak *i*: *ciń*, *dziń*, *ciɤyki*, *tɤn*, *ɤn*.

4. Samogłoski nosowe mają wymowę ścieśnioną, szczególnie w wymowie rozłożonej: *dómp*, *kónt*, *ksiundz*. Ścieśnienie samogłoski *ę* jest bardziej jednolite: *gɤmba*, *gɤɥś*, *chɤyntny*. Na końcu wyrazów *ę* traci nosowość: *ide*, *robie*, *widze*; a *-ą* ma wymowę rozłożoną: *chcom*, *idom*, *majom*.

5. Samogłoski *i*, *y* przed sylabą akcentowaną zanikają: *kujcɤyna*, *ɤoźmina*, *sroki*, *srowy*, *źmioki*.

6. Mazurzenie jest prawie bezwyjątkowe: *cas*, *cesać*, *suso*, *zyto*, *zboze*, *jezdze*.

7. Dawna grupa *źr* \geq *zdź*: *zdźybie*, *zdźudło*. Spółgłoska *ch* ma wymowę krtaniową małopolską. Zdarza się zastępowanie jej przez *k*: *kcić*, *kciół*, *pkła*, *skować*, a nawet *w ryncak*.

Grupa *nk* \geq *ɤk*: *godziɤka*, *paniɤka*, *ɤokiɤko*.

8. W słowotwórstwie zachował się przedrostek i przyimek *s-* przed półotwartymi i przed *w*: *stazić*, *śłos*, *ś nim*, *s nami*, *śniecie «śmiecie»*, *smiotać*, *sebɤyc*, *swijać*, *swijotko*.

9. W deklinacji rzeczowników żeńskich i nijakich charakterystyczną cechą jest końcówka *-ów* w D. l. m.: *dziwuchuf*, *noguf*, *ɤoknuf*, *mysuf*, *zytuf*.

10. W koniugacji końcówka *-ta* w 2 os. l. m.: *kceta*, *mota*, *rupta*, *dejta*, *bylišta*. W czasie przeszłym dominują formy z partykułą *że*: *jo zɤym była*, *ty ześ poset*, *my zɤym posiekli*. Obok tego formy bez *że*: *byłam*, *my byli* // *bylimy*.

Legendę o Twardowskim, którą zamieszczamy niżej, opowiedziała Marianna Makiela (92 lata), mieszkanka Pańnowa.

Zapisał i przygotował do druku Piotr Bąk.

ŲO TWARDOSKIM

Na ksiyzycu jes Twardoski. Zaprzedoł sie... sprzedał go ųociec. Ųociec pojechał do boru i niy mug wyjechać. Kobiyta jego była prawie f ciąży. Jag niy mug wyjechać, to zawołał:

Pumogojcie mi, chodźby złe duchy. I złe duchy mu pumogły, ale powiedziały:

— A teraz musiz nom dać to, ųo cym nie wiyz, ze moz w dumu.

— To, ųo cym nie wiyz, to moge dać — powiedział i kozoł sobie palidz zgnoc, krew wysycyrkla i ųun tom krwiom potpisoł z djablami ųugode. Przysed do dumu, a sluzonco wysła i powiedziała:

— Panie, momy syna!

To ųun juz wiedzioł, ze syna sprzedał djablom.

Jak syn uros, spytoł sie tatusia, cymu jes taki smutny.

— Bom cie sprzedał — ųotpowiedzioł ųociec.

• Syn był bardzo pobozny. Posed do piekla z wodom ųwiyncunom i kropidłym. Leciała przed nim bioło myska i pokozywała mu druge.

F piekle noistarsy saton mioł to cyrydło, co je ųociedz w boru potpisoł. Twardoski kropił kropidłym wodom ųwiyncunom. Saton rycół i upuścił to cyrydło, a ųun je złoł i wyset s piekla.

Twardoski był dochtorym.

Roz bawil sie f kacmie i te złe duchy chciały go zabrać. Mieli go wziąz w Rzymie. Zrobili kacme i napisali na ni „Rzym”. Tak sie wzini na sposub i zabrali go, skumo do chorygo.

Twardoski ułozył godzinki i jag ųuni go nieśli przes powietrze, zacon ųpiywać te godzinki. To ųuni niy mogli tego sluchadz i zųostawili go na ksiyzycu. Razym z nim zabrali tyz jego sluzoncygo Maćka. Tyn Macieg zaminio sie f pajoncka i sie spusco s ksiyzyca na pajoncynie i donosi Twardoskimu, co na zimi slychać.

Zenon Klemensiewicz: *Studia syntaktyczne*; część druga. Wrocław-Warszawa-Kraków 1969. Polska Akademia Nauk — Oddział w Krakowie. Prace Komisji Językoznawstwa nr 23, s. 21, cena zł 6.

Już po tragicznej śmierci profesora Zenona Klemensiewicza, pod koniec roku 1969, otrzymaliśmy część drugą „Studiów syntaktycznych”. Jest to „Zarys formalnej analizy polskiej konstrukcji dwuwypowiedzeniowej”. Część pierwsza, recenzowana zresztą w „Poradniku Językowym”¹, ukazała się w r. 1967. Poświęcona jest analizie formalnej polskiego wypowiedzenia pojedynczego. Jak widać więc, obie części są próbą nowej syntezy wiedzy o analizie składniowej.

Profesor Zenon Klemensiewicz dostarczył już poprzednio dwa całościowe opisy polskiego systemu syntaktycznego. W r. 1937 wyszła „Składnia opisowa współczesnej polszczyzny kulturalnej”, w r. 1949 ukazał się „Zarys składni polskiej”, poprawiony i rozszerzony w 2. wydaniu z r. 1957, który stał się podstawowym podręcznikiem akademickim składni polskiej. Ta mnogość syntez, obejmujących ten sam zakres materiału językowego, jest faktem dość niezwykłym w naukowych biografiach językoznawczych; na ogół — w najlepszym razie — poprzestaje się na jednej. Jest to jednak skutkiem postawy tak dla profesora charakterystycznej; niepoprzestawania na tym, co się już osiągnęło, owej pasji badawczej, która każe poszukiwać ciągle nowych rozwiązań, uwzględniać nowe badania szczegółowe.

„Studia syntaktyczne” są syntezą całkowicie nową, nie zawahałbym się przed użyciem określenia: nowatorską — i w porównaniu do dwóch poprzednich, i w zestawieniu z dotychczasowym dorobkiem polskiej składni. Nowość ta polega przede wszystkim na odmiennym podejściu do zjawisk syntaktycznych, na odmiennej metodologii. Podstawowe założenia metodologiczne sformułował autor *explicite* tylko w części pierwszej. Sprowadzają się one do tezy negatywnej i pozytywnej. Negatywna głosi, że w badaniach składniowych należy zrezygnować z ogromnie bogatej i zróżnicowanej warstwy semantycznej wypowiedzenia, ponieważ interpretacja tej warstwy prowadzi językoznawców do rozważań rozwijających się „w ramach gramatyki, ale na pograniczu semiotyki, semantyki, psychologii, logiki, teorii poznania. Jest to pogranicze niebezpieczne: doświadczenie już pokazało, ile tu naukowo groźnych i bezowocnych wychyleń poza uprawnienia i kompetencje językoznawcy”². Teza pozytywna, będąca konsekwencją poprzedniej, mówi natomiast, że należy dążyć do opisu formalnego, czysto składniowego — „który by się skupił na obiektywnej obserwacji budowy wypowiedzenia w jego formalnych (podkr. Autora) komponentach i ich wzajemnego formalnie (podkr. Autora) wyznaczonego stosunku”³. Rezultatem konsekwentnej realizacji tych założeń winien być, wg Autora, opis systemu konstrukcji syntaktycznych „w kształcie uogólniających i oderwanych od nieskończonej różnorodności ich realizacji w mowie formuł symbolicznych i diagramów” (podkr. J. P.)⁴.

Pomimo przyjęcia radykalnej płaszczyzny formalnej Autor zmuszony został do korzystania z takich kategorii i pojęć gramatycznych (np. części mowy, części zdania), które nie tylko formalnie i obiektywnie są wyodrębniane. Z. Klemensiewicz pisze

¹ Andrzej Maria Lewicki: *Zenon Klemensiewicz — Studia syntaktyczne*. „Poradnik Językowy” 1968, z. 5, s. 272—276.

² Zenon Klemensiewicz: „Studia syntaktyczne”, Wrocław 1967, Ossolineum, s. 5.

³ J. w.

⁴ J. w., s. 6.

bowiem: „Trzeba w analizie formalnej UW (tj. zespołu wypowiedzeń — J. P.) wyzyskać jako elementy układu odniesienia znane gramatyce tradycyjnej, a zastosowane także w analizie wypowiedzenia pojedynczego, pojęcia i kategorie: części zdania, części mowy, stosunku logiczno-sensownej zależności (zgody, rządu, przynależności)” — s. 6. Widzę w tym zasadniczą niekonsekwencję, uniemożliwiającą lub przynajmniej poważnie utrudniającą „obiektywne” i „czysto składniowe” badanie faktów językowych.

W zakresie wypowiedzenia dwukrotnie złożonego, które jest tematem części drugiej „Studiów syntaktycznych”, przyjęcie zasady wyłączności analizy formalnej prowadzi do rezygnacji ze szczegółowego klasyfikowania zdań podrzędnych, a więc z tak charakterystycznych dla składni opisowej podziałów znaczeniowych zdania przydawkowego, dopełnieniowego, okolicznikowego.

Jak już wspomniałem, szczegółowo analizuje Autor tylko jeden typ wypowiedzenia złożonego (zwanego tu zespołem wypowiedzeń), jego „jednostkę konstrukcyjną”, którą stanowią dwa wypowiedzenia zespolone. Jednostkę tę nazywa wiązką wypowiedzeń — symbol J, formuła: $J = Wu_1 : Wu_2$. Jest to więc zespół wypowiedzeń jednowiązkowy — UWj.

Badając stosunki syntaktyczne składowych $Wu_1 : Wu_2$ w UWj, dochodzi Autor do wyodrębnienia trzech rodzajów UWj (s. 6—7):

1. Stosunek nadrzędno-podrzędny, czyli niewspółrzędny
2. Stosunek współrzędny
3. Stosunek przyrzędny.

Trzeci stosunek składniowy jest innowacją w zestawieniu z innymi opracowaniami, w tym również z „Zarysem”⁵. Widzi go Z. Klemensiewicz w konstrukcjach, które nazywał w „Zarysie” wypowiedzeniami zestawionymi, np. *Korzecki szepnął: Widzę coś nowego. Sprawa ta — tak przynajmniej opowiadał mi brat — nie została jeszcze załatwiona.*

Następnie zajmuje się Autor wyznacznikami zespolenia dwu wypowiedzeń w UWj, czyli rodzajami wskaźników zespolenia. Porównajmy odpowiednie klasyfikacje w „Zarysie” i „Studiach syntaktycznych”:

„Zarys składni polskiej”

- I. Wskaźniki zespolenia wyrazowe
 1. Spójniki (pojedyncze, zestawione, podwójne; jednoznaczne i wieloznaczne; przywypowiedzeniowe i międzywypowiedzeniowe).
 2. Zaimki zespolenia.
 3. Odpowiedniki zespolenia.
 4. Zapowiedniki zespolenia.
- II. Wskaźniki zespolenia wymawianiowe
 1. Melodia wypowiedzenia czyli intonacja (otwarta i zamknięta).
 2. Pauza (długa, krótka, średnia).
 3. Przycisk.

„Studia syntaktyczne”

1. Spójniki (nierozdzielne, rozdzielne, zreduplikowane, skorelowane)
2. Zaimki spójnikowe
 - a) zaimek względny (rzeczownikowy, przymiotnikowy, przysłówkowy),
 - b) korelacyjne zestawienie zaimkowe (zaimek wskazujący — zaimek pytający).
3. Zaimkowo-spójnikowe wskaźniki zespolenia
 - a) zapowiednik — spójnik nierozdzielny,
 - b) spójnik — odpowiednik (zaimek anaforyczny lub wskazujący)

⁵ Zenon Klemensiewicz: „Zarys składni polskiej”, PWN, Warszawa 1961.

4. Prozodyczne wskaźniki zespolenia

- a) melodia,
- b) pauza,
- c) przycisk.

5. Prozodyczno-zaimkowy wskaźnik zespolenia (wskaźnik prozodyczny — zaimek anaforyczny).

Widzimy więc, że oba systemy wskaźników zespolenia znacznie się od siebie różnią. Identycznie przedstawiają się jedynie prozodyczne wskaźniki zespolenia (melodia, pauza, przycisk). Pomijając różnice w samej siatce klasyfikacyjnej, terminologii i różnice wynikające z przyporządkowania tym samym terminom odmiennych treści, otrzymamy dwa typy szczególnych wskaźników zespolenia, szczególnych na tle dotychczasowych przyzwyczajzeń składniowych.

Wśród zaimkowo-spójnikowych wskaźników zespolenia, występujących na płaszczyźnie współrzędności, wyróżnia Autor takie (3b), gdzie: „pierwszy człon jest spójnikiem z lokalizacją konieczną wewnątrz UWj, tzn. między Wu_1 i Wu_2 ...”; „drugi człon jest zaimkiem anaforycznym, który należy do grupy rzeczownikowych 3 osoby albo wskazujących *ten, tamten, ów*; stanowiąc w Wu_2 zastępczy odpowiednik jakiegoś rzeczownikowego składnika Wu_1 , nawiązuje treści obu wypowiedzeń za jego pośrednictwem, przez odwołanie się do niego” (s. 13), np. *Zwieziono z lasu kilka wozów jałowca i palono go na rynku miejskim; Nie czuł zmęczenia, ani się przeciw niemu buntował; Myli się kilkakrotnie w podaniu narzędzi lekarzowi, ale ten się nie gniewa*. Tradycyjnie zaliczaliśmy te zdania do współrzędnych spójnikowych, a drugi człon wskaźnika zespolenia, nazywany przez Z. Klemensiewicza „odpowiednikiem”, interpretowaliśmy jako część zdania (dopełnienie lub podmiot).

Analogiczną sytuację mamy w wypowiedzeniach z prozodyczno-zaimkowym wskaźnikiem zespolenia, tradycyjnie zaliczanych do zdań łączności bezpośredniej: pierwszy człon jest wskaźnikiem prozodycznym, drugi — zaimkiem anaforycznym, np. *Wiatr rozmiatał pierzchliwe języki, podsycał je; W najweselszym gronie niech się kilku gniewa, zaraz się ich ponurość na resztę rozlewa* (s. 15—16).

Osobiście wydaje mi się, że zabieg włączenia zaimka anaforycznego (lub wskazującego) drugiej części składowej, choć jest on na pewno ważnym elementem formalnym konstrukcji złożonej, w obręb wskaźnika zespolenia nie jest rozwiązaniem najszcześniejszym, odrywa bowiem niejako ten zaimek od bezspornej funkcji składniowej (podmiotu lub dopełnienia), którą pełni on w postpozycyjnym zdaniu składowym. A przecież nie przyporządkowujemy innym wskaźnikom zespolenia funkcji składniowej jakiejś części zdania. Tego typu interpretacja nie jest zresztą całkowitą nowością — spotyka się ją już w pewnych gramatykach XIX-wiecznych.

Przedmiotem zainteresowania Autora są więc w sumie przede wszystkim trzy grupy zagadnień:

1. Stosunek składniowy (treściowy) między wypowiedzeniami zespolonymi w UWj.
2. Formalne wyznaczniki zespolenia dwu wypowiedzeń w UWj (klasyfikacja wskaźników zespolenia) i związany z tym podział konstrukcji dwuwypowiedzeniowej.
3. Współzależność formalna rodzajów treściowego stosunku wypowiedzeń w UWj i użycia danych wskaźników zespolenia.

Nie negując potrzeby opracowania tych zagadnień, trzeba jednak stwierdzić, że nie wyczerpują one całej, bardzo złożonej i wielopłaszczyznowej problematyki zdania złożonego (pominąwszy już to, że pierwsza grupa zagadnień nie należy właściwie do analizy formalnej).

Formalizm w gramatyce, w tym również w składni, nie jest tendencją nową. W językoznawstwie europejskim jego objawy obserwujemy już od początku wieku XX. Wystarczy choćby przypomnieć głośne dyskusje w lingwistyce radzieckiej w latach dwudziestych, poglądy Pieszkowskiego, Petersona, Bułachow-

skiego, Szapiro i innych. Naczelnym argumentem formalistów było zawsze dążenie do maksymalnej precyzji, ścisłości i obiektywności opisu, dążenie do operowania sprawdzalnymi danymi struktury zewnętrznej wypowiedzenia. Dzieje językoznawstwa dowiodły jednak, że formalizm syntaktyczny przegrywał na ogół w konkurencji z innymi teoriami. Główną przyczyną porażek była niewątpliwie jego jednostronność, niemożność pełnej charakterystyki, właśnie nieuwzględnianie owej „warstwy semantycznej wypowiedzenia”. Braki te są szczególnie widoczne w odniesieniu do konstrukcji złożonych.

Studia syntaktyczne Zenona Klemensiewicza są bezwzględnie książką bardzo cenną i pożyteczną, są pierwszą w polskiej literaturze językoznawczej próbą sformalizowanego i zsymbolizowanego opisu polskiego systemu składniowego, próbą przeprowadzoną niezwykle konsekwentnie i logicznie. Wydaje się jednak, że nie należy ich traktować jako wzorca bezwzględnie obowiązującego, a jedynie jako świetny opis cząstkowy, który można i trzeba uzupełniać analizą strony informacyjnej konstrukcji składniowych.

Jerzy Podracki

J. Wójtowicz, L. Szkutnik: *Gramatyka polska w dialogach (skrypt dla cudzoziemców)*. Warszawa PWN 1969; s. 427. J. Wójtowicz: *Policz to po polsku. Odmiana polskiego liczebnika w dialogach*. Wydawnictwa Uniwersytetu Warszawskiego, Warszawa 1969; s. 258.

Do licznej grupy wydanych w kraju podręcznikowych pomocy przeznaczonych do nauczania języka polskiego cudzoziemców¹ dołączyły się ostatnio dwa skrypty, które nie tylko ze względu na niedawną datę ich wydania zasługują na pełniejszą recenzję. Początkują one bowiem nowy, jak nam się wydaje, poparty wieloletnim już doświadczeniem, wyższy etap dążeń zmierzających do zbudowania całego systemu podręczników języka polskiego, które — opierając się na najnowszych psychologicznych i lingwistycznych teoriach nauczania języków obcych² — konsekwentnie uwzględniać będą odpowiedni materiał, określone sprawności językowe (rozumienie mowy, mówienie, czytanie, pisanie), a także cały kontekst naturalnego środowiska obcojęzycznego, w jakim „zanurzeni” są cudzoziemcy uczący się języka polskiego w Polsce.

Jeżeli chodzi o metodę nauczania, to niewątpliwie za lepszą jest dziś uważana mająca coraz szersze zastosowanie umiarkowana metoda bezpośrednia. Skuteczność tej metody w zdobywaniu czynnej znajomości języka daje jej pierwszeństwo przed metodą gramatyczno-tłumaczeniową, nadającą się głównie do nabywania umiejętności czytania w języku obcym, czyli do biernej znajomości języka. Przeciwność tych dwóch metod polega na tym, że różnymi drogami prowadzą one uczącego się do opanowania struktury gramatycznej języka obcego. Jedna za podstawę i punkt wyjścia bierze mówiony bądź pisany tekst (przyjmując za jednostkę tego tekstu zdanie), druga zaś — gramatykę. Raz jest to droga od konkretnego tekstu do świadomości gramatycznej (metoda bezpośrednia), drugi raz — od świadomości do tekstu (metoda pośrednia, czyli gramatyczno-tłumaczeniowa). Rzecz cała sprowadza się jednak do pytania: w jaki sposób nauczyć gramatyki języka obcego?

Autorzy recenzowanych tu podręczników języka polskiego dla cudzoziemców odpowiadają: poprzez dialogi. Odpowiedź ta zawiera w sobie nie tylko wybór metody bezpośredniej, ale także wskazanie jako celu, który przy pomocy tych pod-

¹ Por. Z. Kościelak: *Podręczniki języka polskiego dla cudzoziemców (charakterystyka, próba oceny oraz wykaz bibliograficzny)*, „Por. Jęz.” 1970 nr 2, s. 91—98.

² Pragniemy tutaj zwrócić uwagę na książkę Borysa Bielaiewa „Zarys psychologii nauczania języków obcych”. Warszawa 1969, wydana przez PZWS.

ręczników może być osiągnięty, konkretnej sprawności językowej, mianowicie mówienia.

„Gramatyka polska w dialogach” za główny cel bierze więc nie podanie pewnej sumy wiadomości o nauczanym języku, ale naukę mówienia, wprowadzenie cudzoziemca w tajniki struktury gramatycznej języka polskiego poprzez dialogi. Wyodrębnienie jednak pewnych partii materiału dialogowego hasłem *Powtórzenie* (s. 55—65; 192—196; 228—230) oraz zamieszczenie *Indeksu problemów gramatycznych* (s. 420—421) świadczy o tym, że autorzy podręcznika nie eliminują podawania uczącemu się wiadomości gramatycznych. Podręcznik nie jest pomyślany jako samouczek, autorzy pozostawiają więc lektorom swobodę co do tego, czy wykład reguł będzie się odbywał przed ćwiczeniem form, czy też po przyswojeniu sobie przez uczniów pewnych struktur językowych bez odwoływania się do świadomości.

Sięgając po formę dialogu, autorzy kierowali się słusznym przekonaniem, że „nie tylko nauka form gramatycznych, ale i przyswajanie nowych słów przebiega znacznie szybciej i łatwiej wtedy, kiedy słowo zapamiętywane jest w kontekście, w żywym dialogu” (*Wstęp*, s. 3). Dialog jest bowiem najbardziej naturalną formą komunikacji językowej.

„Gramatyka polska w dialogach” zawiera prawie dwa tysiące dialogów. W pierwszej części, gramatycznej, zamieszczono około 1500 dialogów stopniując je według trudności, kolejno wprowadzając formy gramatyczne oraz struktury zdaniowe. W części drugiej zgrupowano dialogi według tematów rozmów, np. *Pogoda, Pieniądze i wydatki, Ubranie, Zakupy, Podróż*. Ponieważ każdy dialog ma przynajmniej dwa lub trzy wymienniki poszczególnych słów lub całych zdań, podręcznik stanowi żywy i bogaty materiał do ćwiczeń w mówieniu.

Równie bogato pod tym względem przedstawia się skrypt Janiny Wójtowicz „Policz to po polsku”, który dotyczy wybranego zagadnienia gramatyki języka polskiego, a mianowicie odmiany liczebnika. I tutaj materiał dialogowy podzielono na kilka części. W części pierwszej położono nacisk na trudności gramatyczne i w 450 dialogach uszeregowanych według stopnia trudności uporządkowano materiał językowy w sposób mniej więcej zbliżony do innych polskich podręczników. Część druga składa się z trzystu dialogów ułożonych według tematów potocznych rozmów (*czas, pieniądz, objętość, waga, wymiary, liczebność*), a część trzecia niesie ujęte w dialogi (bez wymienników) informacje o Polsce. Na końcu zamieszczono dział *Polska w liczbach*, na który składają się fragmenty tekstów i artykułów prasowych obfitujących w liczebniki. Część pierwsza tego skryptu, dostosowana do programu gramatycznego realizowanego w „Gramatyce polskiej w dialogach”, ma obok funkcjonalnej formy graficznego przedstawienia niektórych reguł gramatycznych i ten walor dydaktyczny, że zawiera sporo sprawdzających i wdrażających ćwiczeń, które można wprowadzać zarówno w formie ustnej, jak i pisemnej.

Zastosowana w obu omawianych skryptach metoda wymienników wiąże się niewątpliwie z nazwiskiem współautora „Gramatyki polskiej w dialogach” Leszka Szkutnika. „Metoda wymienników — pisze we wstępie autorka skryptu „Policz to po polsku” — jakkolwiek znana i wprowadzana w światowej literaturze, w tej formie przejęta została z podręczników L. Szkutnika”. Teoretyczną podstawą tej metody jest zasada wyodrębniania się abstrakcyjnej struktury językowej z konkretnego zdania (tekstu) drogą wymiany elementów. To bowiem, co zostaje w tekście pomimo wymiany wszystkich jego konkretnych elementów, jest strukturą. Wyodrębnianie się struktury (zdaniowej, wyrazowej, morfologicznej, fonologicznej, fonetycznej) dokonuje się bez udziału świadomości. Struktura pozostaje w podświadomości. W świadomości pojawia się zawsze tylko konkretne zdanie lub konkretny tekst³.

³ Por. L. Zabrocki: „Językoznawcze podstawy metodyki nauczania języków obcych”. Warszawa 1966, s. 19.

Podręczniki J. Wójtowicz i L. Szkutnika mają ten proces „zaprogramowany” odpowiednim układem przeznaczonego do ćwiczeń materiału. Dialogi umieszczone są po lewej stronie, podczas gdy po prawej stronie podaje się wymienniki. W dialogu podkreślony jest ten wyraz, ta część zdania lub to zdanie, które może być zastąpione wymiennikiem znajdującym się w tej samej linii po prawej stronie. Przewidziano też możliwość wymiany dwóch członów zdania przez dwa różne wymienniki (ujęte wtedy w nawiasy kwadratowe) oraz równorzędne możliwości zastąpienia jednego elementu przez kilka wymienników. Każda grupa dialogów ma swój tytuł lub umieszczone w ramkach zdanie, formę albo element struktury ćwiczonej w danej grupie dialogów. Lektor — nie krępowany lekcyjnym układem skryptów, którego świadomie w obu podręcznikach zaniechano — ma swobodę zarówno w planowaniu jednostek lekcyjnych i tempa pracy, jak i w zwiększaniu liczby wariantów dialogowych przy wykorzystaniu tych wszystkich możliwości modyfikacji danej formy (np. czasownika), których ze względów technicznych w materiale substytucyjnym nie umieszczono.

Pozwalając sobie na dość obszernie przedstawienie skryptów Janiny Wójtowicz i Leszka Szkutnika, nie skorzystam tym razem z uprawnień do bardziej szczegółowej, krytycznej ich analizy. Pozostawiam więc do praktycznej weryfikacji sprawę doboru językowego i tematycznego dialogów, ich liczebność oraz kolejność wprowadzania struktur. Nie czynię też wyraźnego zarzutu z tytułu powielaczowej formy obu podręczników, rozumiejąc, że stanowią one tylko kolejną próbę zrobienia dobrej pomocy służącej w nauczaniu języka polskiego cudzoziemców, chociaż wydaje mi się, że właśnie nieatrakcyjna, powielaczowa forma oraz tymczasowe, lokalne przeznaczenie bardzo niekorzystnie zawężają krąg odbiorców, znacznie za to — także niekorzystnie — rozszerzając objętość skryptów.

Nieco uwag poświęcę na koniec jedynie sprawie niektórych jednowyrazowych wymienników, gdyż wiąże się ona z pewnym istotnym problemem teoretycznym metody bezpośredniej.

Sięgnijmy po jeden z wzorcowych przykładów dialogu i jego wymienników:

- | | |
|---|--------------------------|
| A. Czy może mi pan pożyczyć <u>dwieście</u> | trzysta, czterysta, |
| złotych do <u>dziesiątego</u> marca | dwudziestego, pierwszego |
| B. Niestety, nie mam przy sobie | |
| A. A w <u>domu</u> pan ma? | biurku |
| B. Nie, w <u>domu</u> też nie mam | biurku |

Substytucji podlega podkreślony składnik zdania.

Jak widać z powyższego, z wyrażenia przyimkowego substytuowany jest tylko człon rzeczownikowy, zaimkowy lub liczebnikowy, więc po prawej stronie pojawia się jako wymiennik nie całe wyrażenie przyimkowe, lecz jedynie rzeczownik, zaimek bądź liczebnik w przypadku odpowiednim do pozostającego w zdaniu dialogowym przyimka. Podobnie jak wyrażenia przyimkowe rozdzielane są przy substytucji inne konstrukcje o cechach połączeń stałych, tzw. *syntagmy*⁴. W skrypcie „Policz to po polsku” do liczebników typu *dwadzieścia trzy, trzydzieści pięć* podawane są jedynie wymienniki członu jednostkowego (*cztery, siedem, dziewięć*), podczas gdy człon dziesiątkowy pozostaje wciąż w zdaniu, w którym dokonuje się podstawiania.

Nie ułatwia to uczącemu się płynnego i bezrefleksyjnego stosowania substytucji, nie najlepiej też służy dydaktycznemu procesowi wyabstrahowywania struktur oraz paradygmatów. Przy takim bowiem traktowaniu syntagm wymienniki nie stanowią gotowych elementów dialogu w razie chęci użycia tak częstych w konwersacji struktur restryktywnych, np. (*Gdzie masz ten artykuł?*) *W domu. W biurku; (Jak długo*

⁴ Por. S. Szubin: „Podstawowe zasady metodyki nauczania języków obcych”. Warszawa 1966, rozdz. 2 i 3.

będziesz w Polsce?) Do dwudziestego. Do piątku; (Jak często tu przyjeżdżasz?) Co dwa lata. Raz na kilka lat. (Kiedy wraca Janek?) Za dwa dni. Za trzy tygodnie itp.

Oba przedstawione tu podręczniki stanowią cenną, udaną i dobrze ukierunkowaną pomoc w nauczaniu języka polskiego cudzoziemców. Niosą interesujący i bogaty materiał językowy, ujęty w żywe, emocjonalnie zabarwione, nierzadko prowadzone „pół żartem pół serio” dialogi. Zastosowana w nich metoda wymienników wiedzy w atrakcyjny i skuteczny sposób do osiągnięcia trudnego celu, jakim jest czynna znajomość obcego języka.

Zbigniew Kościelak

KILKA UWAG O REDAKCJI STYLISTYCZNO-JĘZYKOWEJ PEWNEJ POWIEŚCI

Stanisław Ryszard Dobrowolski: *Głupia sprawa*, „Czytelnik”, Warszawa 1969.

Zdawałoby się, że już bezpowrotnie minęły czasy, w których w wydawnictwach brakowało należycie przygotowanych do swego zawodu „korektorów językowych”, jak ich określa Kazimierz Nitsch w artykule sprzed trzydziestu kilku lat¹. Obecnie maszynopis każdej książki w każdym wydawnictwie przechodzi, po ewentualnym poprawieniu go przez autora według wskazówek recenzenta, jeszcze przez ręce redaktora, odpowiedzialnego zarówno za stronę merytoryczną tekstu (oczywiście w zakresie ograniczonym do wykrywania i usuwania oczywistych omyłek), jak i za jego formę stylistyczno-językową. Obróbka redakcyjna maszynopisu powinna niejako gwarantować czytelnikowi, że książka, którą bierze do ręki, jest wolna od błędów gramatycznych i stylistycznych. Nie należy stąd oczywiście wyciągać wniosku, że język każdej książki, zwłaszcza zaś dzieła literackiego, musi pod każdym względem odpowiadać ogólnie przyjętym normom poprawnościowym. Wprost przeciwnie — dzieła literatury pięknej nie tylko mogą, lecz powinny być — i zwykle są — domeną twórczości językowej, która nie byłaby możliwa bez przelamywania utartych norm i szukania nowych środków wyrazu. Chodzi tylko o to, by odchylenia od norm poprawnościowych w utworach były świadome, celowe, zamierzone. Żaden więc rozsądny redaktor nie zakwestionuje na przykład Markowi Nowakowskiemu słownictwa i stylizacji mających na celu scharakteryzowanie środowiska, o którym ten autor pisze, ani też Mironowi Białoszewskiemu *peryferafaelickich madonn* w wierszu „Karuzela z madonnami” (skojarzenie madonn prerafaেলickich z dziewczętami z peryferii wielkiego miasta)². Jednakże oprócz świadomych odstępstw od norm poprawnościowych, odstępstw będących wyrazem twórczości językowej autora, trafiają się w tekstach literackich, nawet takich, które wyszły spod pióra wybitnych pisarzy, także nieświadome naruszenia tych norm, wynikające najczęściej z chwilowej nieuwagi autora, z jego przemęczenia, bądź z tego, że — jak już dawno zauważono, „quandoque bonus dormitat Homerus”. Obowiązkiem redaktora jest skrupulatnie wychwytywać wszelkie tego rodzaju usterki. W utworach literackich bowiem, które z natury rzeczy powinny być pewnego rodzaju wzorcami językowymi, takie błędy bardzo rażą, o wiele bardziej niż np. w poradnikach fachowych lub dziełach naukowych, którym się nie przypisuje funkcji wzorców. Jest to zadanie nieraz — nawet przy wysokich kwalifikacjach redaktora — trudne do wykonania, bo zdarzają się autorzy, których niełatwo przekonać, że takie czy inne wyrażenia, taką czy inną konstrukcję składniową trzeba zmienić, poprawić. Niemniej powinno być — i z reguły jest — ambicją redaktora, by tekst książki, którą się opiekował, wyszedł spod jego ręki w nienagannej for-

¹ Zob. Kazimierz Nitsch: *O korektorach językowych słów kilka*. „Język Polski” XIX (1934), s. 1—8.

² Przykład zaczerpnięty z „Praktycznej stylistyki” A. i P. Wierzbickich.

mie stylistyczno-językowej. Są jednak wyjątki od tej reguły. Zaliczyłbym do nich opracowanie redakcyjne niedawno wydanej powieści Stanisława Ryszarda Dobrowolskiego „Głupia sprawa”, której tekst sprawia wrażenie, jakby nie był poddany redakcyjnej obróbce stylistyczno-językowej. Dziwi to tym bardziej, że akcja utworu rozgrywa się współcześnie (w partiach retrospektywnych autor cofa się najwyżej o parę dziesiątków lat), głównie w środowisku inteligenckim, i jego bazą stylistyczno-językową jest współczesna polszczyzna warstw wykształconych, a zatem zadanie redaktora było stosunkowo łatwe i trudno usprawiedliwić niewywiązanie się z niego.

W omawianej powieści rażą przede wszystkim liczne nieuzasadnione stylistyczne odstępstwa od naturalnego szyku wyrazów. Na przykład:

„(...) litował się nad anonimowym tajemniczym postrzeleńcem Erosa Cywiński”¹ (s. 8).²

„(...) Spoglądała z niepokojem na kręcącego się po przedpokoju, jak gdyby jeszcze czegoś szukał, fizyka”¹ (s. 12).²

„(...) zdziwił się dobrze, jak mu się zdawało, zorientowany w stosunkach Cywińskiego żołnierza”¹ (s. 39).³

„Jechał tam z innymi, niż te, które wczoraj narzucały mu złe myśli, zamiarami”¹ (s. 114).²

„(...) której dwaj synowie rozbiegli się po klęsce wrześniowej i zajęciu Warszawy przez Niemców po świecie”¹ (s. 134).²

„(...) i ci, i tamci — nie różnili się jedynie rysami twarzy oraz opaskami na ramionach z gwiazdą Syjonu”¹ (s. 193).²

„Chciał jak najlepiej przyjąć nie pozbawionego mimo wszystko uroku, swoistego wdzięku gościa”¹ (s. 216).²

„Czym ja się tu zajmuję (...) gdy inni (...) umierają dla słusznych czy niesłusznych, rzecz obojętna, spraw?”¹ (s. 216).⁵

„(...) sam widok Marii wytrącał mu przedmioty z roztrzęsionych, rozdygotanych jak poruszone wiatrem gałęzie osiczyny rąk”¹ (s. 218).³

Sądzę, że we wszystkich przytoczonych przykładach redaktor powinien był proponować szyk oznaczony przeze mnie numeracją (cyfry nad wyrazami). Nie przyniosłoby to najmniejszej szkody stylizacji wypowiedzi, a wydatnie by zwiększyło ich komunikatywność. Nawiasem mówiąc, w piątym z rzędu zdaniu nasuwa wątpliwość wyrażenie: *dwaj synowie rozbiegli się po świecie*, bo chyba rozbiec się może tylko większa liczba ludzi; *szóste zaś*, nawet po zmianie szyku wyrazów, która usuwa nonsensowne *ramiona z gwiazdą Syjonu*, pozostaje niezręczne stylistycznie i mało komunikatywne.

Druga grupa usterek stylistyczno-językowych w omawianym tekście — to błędy i niekonsekwencje w operowaniu postacią dokonaną i niedokonaną czasowników. Oto przykłady:

„Profesor postanawiał dzisiaj nie telefonować do Zofii” (s. 115).

„Trzeba trzymać nerwy na postronku, działać z największą rozwagą — postanawiał twardo” (s. 112).

„Zofia zakładała pantofle. Okrywała ramiona szalem” (s. 241).

„Pani Zofia poprawiała poduszki pod głową męża. Zabierała ze stoliczka telefon. Pokręciła przecząco głową, gdy nieśmiało wyciągał do niej ramiona” (s. 276).

Z treści przytoczonych zdań, a także z ich kontekstu, wynika, że chodzi w nich o czynności skończone, a zatem orzeczenie powinno być w tych zdaniach wyrażone raczej postacią dokonaną czasownika.

Innego rodzaju błąd trafiający się w książce, której język analizujemy, to niewłaściwe użycie rodzaju męskoosobowego i rzeczowego, np.:

„Niemcy Hitlera były na łeb każdego przeciwnika (...) już dawno zgruchotali Francję Petaina, wleźli do Skandynawii, dokuczali (...) „perfidnemu Albionowi”, topili (...) statki i okręty wojenne” (s. 184).

Jest to wypowiedź, na którą się składa kilka zdań złożonych równorzędnie. Podmiotem ich wszystkich jest wyraz *Niemcy* w znaczeniu «państwo niemieckie» — wynika to z pierwszego zdania. Wobec tego wypadłoby uznać za błędne wszystkie orzeczenia wyrażone formą męskoosobową czasownika (*zgruchotali, wleźli, dokuczali, topili*). Ale orzeczenia w przytoczonych zdaniach najwyraźniej się odnoszą do innego, choć fonetycznie jednobrzmiącego, podmiotu: wszakże *wleźć do Skandynawii* i *topić statki i okręty wojenne* mogli tylko Niemcy — ludzie, a nie Niemcy — państwo. Całe zdanie ma więc charakter „konfliktowy”.

Do niedociągnięć stylistyczno-językowych w omawianej powieści Dobrowolskiego zaliczyłbym również formę gramatyczną i stylistyczną następujących wyrazów i obszerniejszych wypowiedzi:

„(...) zakładał płaszcz” (s. 12 — płaszcz się *wkłada* lub *wdziewa*).

„(...) Portret Marii, pastelowe dzieło oka i ręki Witkiewicza, jakich (...) nakropił, ile wlaźło, by żyć i pić” (s. 29) — pomijam wulgaryzmy, ponieważ są zamierzone, zwracam uwagę na za daleko posunięty skrót myślowy; należałoby dodać *jedno z tych* i oczywiście *jakich* zmienić na *których*.

„Najczęściej słychać było redaktora Władysława Ziuk-Białobłockiego, który (...) był właścicielem pożydowskiego sklepiku (...), w którym handlował (...) walutami” (s. 75 — *który* — w *którym*).

„Nawet gestapowcy (...) respektowali urzędowe czapki takich przedsiębiorstw miejskich, jak elektrownia czy gazownia” (s. 163 — *czapki przedsiębiorstw*).

„(...) Zakłęcie, którym (...) szafowano w ulicach warszawskich przedmieść” (s. 171 — chyba: *na ulicach*).

„Szkoda (...) takiego wytrawnego pióra, jak Putrament, dla takiej roboty (s. 180 — chyba: *jak Putramenta, do takiej roboty*).

„(...) przeciwstawiając się nurtującym przez Polskę antywoleńsiowym tendencjom” (s. 226 — *nurtować kogo, co* a nie: *przez kogo, co*).

„Wolność (...) nie stojąca na przeszkodzie do realizowania wolnościowych uprawnień (...)” (s. 229 — raczej: *nie stojąca na przeszkodzie realizowaniu*).

„(...) on był (...) dobrze trącony (...) w jego ptasi mózdzek (s. 232 — pomijam wulgaryzmy jako zamierzone, zwracam uwagę na niewłaściwe użycie *jego* zamiast *swój*).

„Który to dzisiaj?” (s. 272 — o datę pytamy: *którego?*).

Nie brak też, niestety, w analizowanym tekście pozostawionych przez redaktora błędów gramatycznych; zachodzą one głównie w odmianie imion własnych i w przytoczonych w tekście zwrotach obcojęzycznych. Przykłady:

„(...) krewniacy polskiego pisarza Bruno Winawera” (s. 157 — *Bruno* zamiast: *Brunona*).

„(...) prowadził długie rozmowy z panem Bogatko” (s. 209 — zamiast: *Bogatką*).

„Verfluchte Jude!” (s. 37 — zamiast *Verfluchter*).

„Was ist das, dumme Kerl!” (s. 290 — zamiast: *dummer*).

No i „piękny” błąd ortograficzny: „Klub Picquicka” (s. 110 — zamiast *Pickwicka*). Ale to już może po prostu zwykła „literówka”.

Jakie należałoby wyciągnąć wnioski z tego — bynajmniej nie kompletnego — rejestru błędów zauważonych w omawianej powieści? — Sądzę, iż pierwszy — to potwierdzenie tego, co napisałem na początku niniejszych uwag: że książka jest nie dopracowana redakcyjnie. Z tego zaś wynika automatycznie następny wniosek, będący jednocześnie postulatem na przyszłość: że nawet książki pióra wybitnych pisarzy wymagają skrupulatnego szlifowania stylistyczno-językowego, takiego oczywiście, który by w niczym nie zacierał indywidualności stylu autora.

Digamma

LA DONNA È ... STABILE!

Krytyka zmienną jest. Taka pozycja programu rozgłośni katowickiej figuruje w nrze 10 tygodnika „Radio i Telewizja”.

Jak widać, ten kiczowaty narzędnik wciąż żyje nie tylko w librecie operowym („Kobieta zmienną jest”), ale jeszcze owocuje. Stwierdzamy to z ubolewaniem, a że w tym wypadku krytyka musi być niezmienna, oświadczamy, że zdanie to *błędnym jest.*

OSIADŁOŚĆ...

W notatce o międzynarodowym oszuście „Express Wieczorny” (nr 50) informuje czytelników:

„Po wielu perypetiach wrócił do rodzinnej NRF, gdzie wreszcie za liczne oszustwa i wyłudzenia osiadł w więzieniu”.

Przyznać wypada, że to brzmi dumnie, no, w każdym razie poetycznie — niczym barwna relacja o wytrwałym podróżniku albo walecznym wojaku, który po trudach i niewczasach obfitującego w przygody żywota powraca do stron ojczystych, by osiąść na roli*.

NIEŚMIERTELNA ROCZNICA

„Życie Warszawy” (w nrze 77) donosi o imprezach przewidzianych „dla uczczenia dziewięćdziesięcioletniej rocznicy śmierci skrzypka i kompozytora Henryka Wieniawskiego”.

Ceniąc styl autora powyższej notatki, gotowiśmy pomyśleć — np. po roku — o uczczeniu *rocznej rocznicy* jej opublikowania.

NIEZŁOMNA LOGIKA

Zamieszczona w nrze 78 „Życia Warszawy” notatka (informacja własna!) o kradzieży zabytkowych portretów z kościoła oo. Bernardynów w Radomiu zakończona jest taką oto wiadomością:

„Milicja wszczęła energiczne śledztwo. Przypuszcza się, że obrazy zostały skradzione przez sprawców, którzy doskonale znali ich wartość”.

Istotnie, kradzieży prawdopodobnie dokonali jej sprawcy.

Śmiała hipoteza!

Ob. Serwator

* Czy nie ma w zacytowanym tekście świadomej ironii? — W. D.

Wśród artykułów, które — podobnie jak uczynił to prof. dr T. Kotarbiński w swoim pięknym szkicu o pojęciu kultury¹ — zajmują się semantyczną analizą poszczególnych wyrazów, wymienić można inteligentnie przeprowadzony przez Olgierda Terleckiego rozbiór pojęcia *pornografia* (artykuł pod takim właśnie tytułem w rubryce *Szpalty szczerości*, nr 4 „Życia Literackiego”). Proszę wybaczyć, że umieściłem blisko siebie pojęcia tak bardzo nierównorzędne a zarazem raczej przeciwstawne (pornografia jest wszak zaprzeczeniem kultury) oraz że zestawilem artykuły dość różne: znakomity szkic wnikliwego filozofa i nie pretendujący do naukowości, niemal zaczepny w tonie felieton literata i publicysty. Chodzi mi jedynie o podobieństwo ujęcia tematu przez obu autorów. Zajmować się musimy rzeczami nie tylko pięknymi, wzniosłymi, budującymi — takie jest już życie. A właśnie ono — ta codzienna rzeczywistość społeczna — dowodzi wymową faktów, że zjawisko pornografii stanowi nie najmniejszy problem społeczno-moralny, obyczajowy, czy nawet kulturowy dzisiejszych czasów.

Autor analizuje encyklopedyczne definicje omawianego pojęcia (szkoda — zauważmy na marginesie — że cytując m.in. *WEP*, nie sięgnął po odpowiedni tom *SJP* pod red. prof. Doroszewskiego), wykazuje ich niekompletność lub niedokładność, nie bez słuszności przypomina, że tzw. „wizerunkami lub pismami wpływającymi na erotyczne pobudzenie” mogą być też powszechnie uznane dzieła sztuki (np. niektóre obrazy Picassa, Goyi, freski pompejańskie, fragmenty słynnego „Ulissesa” Joyce’a itd.) i wreszcie stara się wychwycić specyficzny rys obiektu rzeczywiście pornograficznego. Powołuje się tu m.in. na wyjaśnienie zawarte w J. J. Pauverta *Dictionnaire de sexologie* (Paryż 1962), a sformułowane przez D. H. Lawrence’a: „Pornografię [...] rozpoznaje się po tym, że poniżej ona seksualizm, znieważając instynkt swą szpetotą i wulgarnością”. Autor akcentuje określenie *wulgarność*, w obecności tej właśnie cechy dopatrując się różnicy między dziełem sztuki o tematyce erotycznej a np. fotografią pornograficzną, do której — jak pisze — „pozowali prostytutka z alfonsem”. Wulgarność, cynizm — oto elementy dla pornografii najistotniejsze, pornografii, którą — czytamy — „trzeba w końcu oddzielić od zwykłego ludzkiego erotyzmu”. Ale pełnej definicji autor nawet nie stara się sformułować. Przekornie i zarazem filuternie konkluduje, że „pomogą mu w tym swymi oburzonymi listami liczni polscy bigoci”.

*

Tygodnik „Kultura” zwrócił się do pewnej liczby uczonych, przedstawicieli różnych dyscyplin, z prośbą o wypowiedzenie się na temat inspirującej roli sztuki, zwłaszcza literatury, w pracy naukowej. W 12 nrze „Kultury” ukazała się wypowiedź prof. dra W. Doroszewskiego, opatrzona tytułem — pochodzącym od redakcji — *Otwieranie horyzontów*. Tytuł to zresztą niezwykle trafny, jako że szkic prof. Doroszewskiego, jak co prawda każda jego obszerniejsza wypowiedź, rzeczywiście otwiera przed czytelnikiem horyzonty nie tylko szerokie, ale i nader — jeśli wolno się tak wyrazić — różnorodne, wielokierunkowe. Co zdanie — to ciekawa, zapładniająca myśl, w sposób twórczy niepokojąca intelektualną ciszę, zalegającą w umyśle niejednego czytelnika. Poprzestańmy bodaj na zasygnalizowaniu paru stwierdzeń, oczywiście tych przede wszystkim, które się odnoszą do języka i językoznawstwa. Jedną

¹ Por. niniejszą rubrykę w 5 nrze „Poradnika Językowego”.

z tez naczelnych artykułu jest skonstatowanie, iż stopień reagowania na bodźce, płynące ku nam z rzeczywistości, decyduje o wartości pracy artysty i uczonego. Twórcza fantazja to nic innego, jak tylko indywidualna cecha mózgu, zdolność reagowania na bodźce dopiero „zapowiadające się”. Innymi słowy, jest to umiejętność trafnego przewidywania. Rola zaś przewidywania — właśnie jeśli chodzi o naukę — stale wzrasta i stąd np. *futurologia*, wyraz do niedawna ujmowany w cudzysłów, a więc zdający się oznaczać coś niezbyt poważnego, w ostatnich czasach staje się obiegowym terminem określonej dyscypliny naukowej. Wśród tego typu rozważań prof. Doroszewski czyni uwagę ujętą w nawias, w rzeczywistości wszakże bardzo istotną i płodną w następstwa. Myślę o stwierdzeniu Profesora, że zdolność przewidywania powinna być „jednym z regulatorów w akcji poradnictwa językowego”. A zatem, kto akcję taką prowadzi, ten musi doskonale się orientować w załączkowo nieraz pojawiających się dążnościach, tendencjach rozwojowych języka. A oto inne spostrzeżenia, dotyczące bacznego przyglądania się wyrazom, trafnego wylawiania ich właściwego sensu. I tak autor zatrzymuje się przy pojęciu intuicji („emocje polegają na intuicji”, przy czym „emocje estetyczne i poznawcze są sobie bliższe niż mogłoby się wydawać”) i przypomina, że łacińskie *intueor* (leżące u źródła omawianego rzeczownika) znaczy «upatruję, widzę», a przeto przede wszystkim musimy „pilnie poznawać naturę”. A znów na temat językoznawstwa: w związku z dającymi się dziś słyszeć głosami, iż językoznawstwo musi być autonomiczne i sformalizowane, Profesor — powołując się na nienowe, a jakże żywotne tezy Jana Baudouina de Courtenay, przypomina, że językoznawstwo nie może być ani „do końca sformalizowane”, ani „autonomiczne”, bowiem jest ono dyscypliną humanistyczną, organicznie związaną z człowiekiem, z jego działalnością, człowiek zaś z kolei stanowi jedność, ale jedność bio-psycho-socjalną. Każdy z tych trzech składników jest równie ważny, składnik zaś socjalny decyduje o tym, że tak artysta, jak i uczone — muszą dbać o społeczną użyteczność swej twórczości. Profesor ujmuje to w słowach: „zarówno funkcja estetyczna, jak funkcja poznawcza języka są w samej swojej istocie jego funkcjami społecznymi i zainteresowania językoznawcy nie mogą tej ich funkcji nie ogarniać”. Postulat to ważki i płodny w praktyczne następstwa.

Końcowa część wypowiedzi Profesora, zamieszczonej w omawianej tu rubryce „Kultury” pt. *Sztuka — nauce*, zawiera równie cenne uwagi z zakresu leksykografii. Dziedzinę tę Profesor określa jako mogącą podlegać bezpośredniej inspiracji dzieł literatury, bo wszak utwory literatury pięknej dostarczają znacznej części materiału leksykografowi, twórcy słowników. Prawie każde zaś słowo — to jakby okno na świat, otwierające się w ścianie pracowni słownikarza. Profesor wspomina — mając oczywiście w pamięci wieloletnią pracę nad redakcją 11-tomowego Słownika — jak owo codzienne obcowanie z kolejnymi słowami odkrywało przed nim coraz rozleglejsze horyzonty, i to nie tylko myślowe, bo „słowo to nie tylko myśl, to bodziec warunkowy, mogący działać [...] zamiast wszelkich innych pozawyrazowych, nieskończenie rozmaitych bodźców”. A dalej: „obcowanie ze słowami to zwielokrotnianie życia, na które stać każdego”. Dlatego też Profesor nazywa leksykografię „humanistycznym ogniwem wszystkich nauk”, z całą siłą podkreśla jej rolę integracyjną, scalającą w sensie społecznym i kulturalnym.

•

Red. M. Sadzewicz, o którego publicystycznym wybryku pisałem w poprzednim odcinku niniejszej rubryki, uznał za stosowne ponownie zabrać głos w felietonie *Kłopoty z panią Kowalską* (nr 17 tyg. „Stolica”). Tytuł ów nawiązuje do poruszonej już poprzednio przez p. Sadzewicza sprawy nazwisk mężatek. Nie wiem, z prawdziwą czy też z udaną naiwnością — autor uskarża się: „moja żona nie wie, czy się podpisać *Sadzewiczowa*, czy *Sadzewicz*, skoro pani Kowalska jest *Kowalska* a nie

Kowalski". Napisałem o naiwności, boć chyba istnieje wyraźna różnica między polskimi nazwiskami na *-ski*, *-cki*, przy których w ogóle nikomu nie przyjdzie na myśl zrezygnować z odróżniania formy męskiej i żeńskiej, a nazwiskami rzeczownikowymi (na *-icz*, typu *Nowak*, *Sowa* i in.), nasuwającymi — bynajmniej nie od dziś (już na przełomie XVIII i XIX w. pisano o *pani Werner*, *pani Fischer* itp.) — poważne wątpliwości. Poza tym pamiętać należy o jednym: formy nieodmienne, ze względów administracyjnych chyba na pewno wygodniejsze, językowo zaś dopuszczalne — choć oczywiście wolno tu mieć różne poglądy — mają charakter urzędowy, w życiu zaś prywatnym można używać form dawniejszych. Nazwisko jest niejako własnością swego nosiciela, a własnością zwykliśmy dysponować dowolnie. Zresztą życie pokazuje, że wiele kobiet z tego prawa rozstrzygnięcia o formie swego nazwiska rzeczywiście korzysta, szczególnie jeśli chodzi o świat artystyczny. Przecież formy *Skarżanka*, *Krafftówna* (nawiasem biorąc, przyrostki *-anka*, *-ówna* zatraciły w nich pierwotną funkcję oznaczania niezamężnych dziewcząt i kobiet) i wiele analogicznych nikogo nie dziwią, podobnie jak nikogo nie dziwiłaby forma *Sadzewiczowa*. Warto zauważyć, że przyrostki *-ówna*, *-anka* nie tylko „odmładzają” nosicielki tak zakończonych nazwisk, ale przede wszystkim oddalają brzmienie nazwiska od formy podstawowej, mającej postać rzeczownika pospolitego, a więc niejako je „uszlachetniają”. Dlatego właśnie osoba, nosząca np. nazwisko *Noga* woli używać formy *Nożanka*. Podobną rolę spełnia też — w pewnym zakresie — pierwotnie „żoniny” przyrostek *-owa*: *Jeżowa* brzmi np. milej niż *Jeż*, w każdym razie niewątpliwie oddala formę nazwiska od nazwy sympatycznego skądinąd zwierzaka. Innym, powszechnie znanym i — tym razem — krytykowanym przez wielu językoznawców zabiegiem „oddalającym” formę nazwiska od podstawowego wyrazu pospolitego jest odmiana typu *Dudek*, *Marzec* — *Dudeka*, *Marzeca* lub *Gołąb* — *Gołąba*. Ten drugi typ raczej się przyjął (praktycznie i teoretycznie), przy czym pamiętajmy, że nawet bez sztucznych zabiegów — niektóre nazwiska rzeczownikowe właśnie w zgodzie z polskim systemem deklinacyjnym, który np. końcówkę dopełniacza *-a* rezerwuje dla wszystkich rzeczowników żywotnych (a więc i osobowych) — nieco różnią się w odmianie od swoich podstawowych rzeczowników pospolitych, np. *mróz* — *mrozu*, ale (nazwisko) *Mróz* — *Mroza*. Zwyczaj językowy dowodzi, że bywają wahania także co do stosowania wymiany *o* — *ó*, np. *róg* — *rogu*, ale przy nazwisku oczywiście nie wahamy się nad końcówką *-a* (nie zaś *-u*), możemy natomiast zastanowić się nad wyborem form dopełniacza *Roga* lub *Róga*. Także i w tych wypadkach rozstrzygająca winna być wola nosiciela nazwiska.

Wracając do felietonu M. Sadzewicza: podał on pełny tekst listu pracowników Zakładu Językoznawstwa PAN (przy IBL) oraz Zakładu Jęz. Polskiego (w Instytucie Fil. Pol. UW), oburzonych zamieszczeniem w „Stolicy” felietonu *Kindersztuba*, napisał sporo niesłusznych i parę słusznych słów o tzw. życiu języka, ze znaną już nam dezynwolturą (żeby nie powiedzieć — ignorancją lub niedbalstwem) zmienił imię prof. dra Bronisława Wieczorkiewicza, nazywając go *Antonim* (a więc chyba nawet nie spojrzął na okładkę wspomnianej przez siebie książki prof. Wieczorkiewicza pt. *Słownik gwary warszawskiej* — jak wiemy — w tytule mamy jeszcze wyrazy: *XIX wieku*) i wreszcie wypowiedział się — tym razem już jawnie — o pracy prof. dra Doroszewskiego nad kulturą języka. Otóż p. Sadzewicz, jak zapewnia, nie atakował ani osoby Profesora, ani „calokształtu jego działalności”, lecz jedynie wspomnianą właśnie pracę Profesora w dziedzinie kultury języka. Felietonista uważa, że Profesor jest zbyt liberalny. Podobne zdanie wyrazili niektórzy korespondenci p. Sadzewicza, którzy pono żywo poparli tezy jego *Kindersztuby*. „Dlaczego Pan Profesor często nie daje konkretnych odpowiedzi, tylko pozwala grzecznie każdemu mówić i tak i tak, jak komu wygodniej” — tak m.in. piszą czytelnicy p. Sadzewicza. Oczywiście jest w tym ujęciu dużo przesady i nieścisłości, ale sam problem — niekoniecznie tylko

w odniesieniu do nieustrudzonego, twórczego, wieloletniego wysiłku prof. Doroszewskiego w bojach o kulturę mowy polskiej — rzeczywiście istnieje: nauczyciele, dziennikarze, inni tzw. niezbyt dźwięcznie użytkownicy języka domagają się rozstrzygnięć jednoznacznych, bezapelacyjnych. Bez względu na olbrzymie trudności, jakie czyni tu właśnie rozległa wiedza o języku i jego historii, społeczna potrzeba doraźnych i wyraźnych dyrektyw językowych istnieje. Nie licząc wielu innych dzieł i artykułów — już same tomy prof. W. Doroszewskiego pt. „O kulturę słowa — poradnik językowy” — wymownie świadczą, że Profesorowi — w powierzchownym nieco ujęciu sprawy nieraz rzeczywiście dość „liberalnemu” — bynajmniej nie jest obcy taki właśnie styl pracy nad językiem: dawanie nie tylko gruntownych, udokumentowanych, popartych głęboką wiedzą i rozjaśnionych szerokim widnokreśleniem myślowym informacji, ale też ferowanie konkretnych wyroków i zaleceń.

Na zakończenie: jakoś nie do twarzy felietoniście, nie grzeszącemu głębszą kulturą publicystyczną, jak o tym świadczą oba felietony (choć ów drugi jest znacznie kulturalniejszy od *Kindersztuby*), uderzać w górne, patetyczne tony takich oto — prawdziwych zresztą acz nieco banalnych — stwierdzeń: „język jest duszą narodu. Cenimy go i kochamy może i zanadto [...] Polska przez czas pewien [w epoce zaborów — przyp. A. S.] przestała być ciałem i była tylko duszą”. W danym kontekście — patos ten budzi raczej niesmak.

•

Ciekawy artykuł o języku sportowym zamieszcza w 30 nrze „Przeglądu Sportowego” mgr Zbigniew Kościelak: *Pilkarze nie gęsi...* Autor, cytując przedwojenne pisma sportowe (tenże „Przegląd Sportowy”, „Stadion”, „Sportowiec”), przekonująco udowadnia, że przez cały okres międzywojennego dwudziestolecia trwała walka o kulturę języka sportowego, przede wszystkim walka z zalewem angielszczyzny. Bo też rzeczywiście (i wtedy, i dziś) język sprawozdań sportowych (nie mówiąc już o gwarze środowiskowej, używanej na co dzień w świecie sportowców i ich kibiców) dosłownie roi się od mniej lub więcej kaleczonych wyrazów i wyrażeń angielskich. Autor wspomina, że podejmowano próby polszczenia niektórych terminów, np. *zabok* lub *zator* zamiast *aut*, jednak bez powodzenia. Nic dziwnego — oba zacytowane neologizmy przeczą polskim zwyczajom słowotwórczym. Problem jest aktualny i dziś. Autor słusznie pisze, że język sportowy zasilil swymi zwrotami i wyrazami mowę ogólną (*finiszować*, *zremisować*, *niedozwolony chwyt*, *wyczyn*), ba — wzbogacił też język publicystyczny (*unik*, *wysiąść w przedbiegach*). Wyrazem tego jest znaczna liczba terminów sportowych, zamieszczonych — jak stwierdza autor — w *SJP* pod red. Doroszewskiego. Otwarty jest problem ułożenia polskiego słownika sportowego (tzn., że słownik taki byłby bardzo pożądanym, sport jest wszak dziedziną o wiele bardziej związaną ze współczesnością niż np. łowiectwo, a przecież cieszymy się z istnienia dobrego *Słownika języka łowieckiego* St. Hoppego).

Mgr Kościelak zachęca językoznawców do podjęcia prac nad językiem sportowym. Apel słuszny i chyba nie pozostanie bez echa, jako że dotychczasowy plon tego rodzaju badań jest nikły.

A. S.

Komu czy dla kogo?

Ob. Józef Szylejko z Lidzbarka prosi o rozstrzygnięcie zagadnienia, które, jak pisze, nurtuje go od chwili, gdy w pewnej rozmowie telefonicznej powiedział do kogoś: „Bilety oddać dla Szypkowskiego”, te zaś jego słowa zostały skrytykowane przez obecną przy rozmowie koleżankę jako zawierające błąd gramatyczny. Według tej koleżanki należało powiedzieć: „Bilety oddać Szypkowskiemu”, używając zwykłej w takich zwrotach formy celownika, a nie konstrukcji z przyimkiem *dla*. Za tą opinią opowiedziały się również inne osoby w dyskusji, której przedmiotem stała się ta kwestia w gronie nauczycielskim. — Niestety — mówię: Niestety — usiłując rzecz ująć od strony korespondenta, który o nią pyta — konstrukcja *oddać bilety komu* jest niewątpliwie lepsza od konstrukcji *oddać bilety dla kogoś*. Użycie zwrotu z przyimkiem *dla* mogłoby się tłumaczyć najwyżej w takiej sytuacji, w której bilety miałyby być oddane nie bezpośrednio owemu Szypkowskiemu, ale komuś, kto miałby mu je doręczyć. To znaczy, można by było powiedzieć: „Bilety dla Szypkowskiego trzeba oddać tej a tej osobie” — tą zaś osobą miałby być kto inny niż Szypkowski. Ale prawdopodobnie intencja zdania zacytowanego przez korespondenta nie była taka. Posługując się trochę przejawioną analogią można stwierdzić, że lepiej powiedzieć: „moje uszanowanie panu” niż „moje uszanowanie dla pana”, co czasem można posłyszeć w Warszawie.

Piętno

Uczennica klasy ósmej szkoły w Tymbarku napisała w wypracowaniu klasowym następujące zdanie: „Ziemia kielecka — ziemia rodzinna Żeromskiego, nosi zaszczytne piętno miłości wielkiego pisarza, przejawiające się w jego dziełach”. Zwrócono jej uwagę, że wyraz *piętno* ma zwykle znaczenie ujemne i że całe zdanie nie jest bardzo dobrze zbudowane. — Autorka zdania nie jest przekonana o słuszności tych zarzutów. Powinna się jednak dać przekonać. Co do wyrazu *piętno*, to można co prawda znaleźć takie przykłady jego użycia, w których wyraz ten nie ma odcienia ujemnego. Nałkowska w „Niedobrej miłości” pisze o jednej z bohaterek tej powieści: „Niektóre rzeczy po prostu ją tam razily — ją, wychowaną kiedyś starannie, noszącą na całym sposobie bycia piętno tak zwanego dobrego domu”. Jeszcze jaskrawiej u Konopnickiej: „Kolorystyczne efekty [...] nadają dzielnicom miasta niesłychanie artystyczne piętno”. U Orzeszkowej: „Cała postać starej kobiety, wysoka i pełna powagi, nosiła na sobie piętno prawdziwej dystynkcji”. Ale są to użycia nie

najbardziej typowe, niektóre może nawet niezupełnie współczesne. Dominującym dzisiaj znaczeniem wyrazu *piętno* jest znaczenie «znaku, znamienia odbitego, wyciśniętego, wypalonego», a więc znaczenia śladu pozostałego po czymś, zwracającego na siebie uwagę i raczej rażącego. Czasem *piętno* to tyle co plama, jak na przykład w wierszu Lieberta o chorych na gruźlicę: „Tylko oddechy coraz prędsze i pod oczami sine piętna”. O tych piętnach pod oczami myślimy, że to są ślady, znamiona, objawy choroby, od strony zaś bezpośredniego wrażenia wzrokowego są to plamy nienaturalnego koloru na twarzy chorego. Na wrażenie, które robi na nas jakikolwiek tekst językowy składają się zawsze pierwiastki uczuć i pierwiastki myśli; im lepiej te pierwiastki są zharmonizowane, tym sugestywniej działa na nas utwór. W zdaniu, o którego ocenę prosi korespondentka, nie wszystko dobrze się tłumaczy. Słowa: „ziemia kielecka, ziemia rodzinna Żeromskiego, nosi zaszczytne piętno miłości wielkiego pisarza”, powinny byłyby znaczyć, że miłość Żeromskiego wycisnęła jakiś widomy ślad na ziemi kieleckiej, że patrząc na krajobraz kielecki widzimy, że to ziemia, którą kochał Żeromski. A tak oczywiście nie jest: my wiemy o tym, jaki stosunek uczuciowy łączy Żeromskiego z ziemią kielecką. Żeromski może się nam przypominać, gdy jesteśmy w Górach Świętokrzyskich, ale trudno powiedzieć, że te góry noszą *piętno*, w dodatku jeszcze *zaszczytne piętno miłości wielkiego pisarza* i że to *piętno* jego miłości do ziemi kieleckiej przejawia się w jego dziełach. W dziełach Żeromskiego przejawia się jego miłość do tej ziemi, a nie *piętno* tej miłości. Można by było ostatecznie powiedzieć, że w dziełach Żeromskiego widoczne jest *piętno miłości do ziemi kieleckiej*, ale można się obejść bez tej metafory. Ważne jest to, że ziemia kielecka była przedmiotem miłości Żeromskiego, albo mówiąc jeszcze prościej, że Żeromski był przywiązany do tej ziemi, że kochał ją, że gdy o niej pisał, to się nią przejmował i uczuciowo, i myślowo, inaczej, że angażował się wewnętrznie, gdy pisał o tej ziemi. Niedawno w Kole Polonistów Uniwersytetu Warszawskiego ogłoszony był konkurs na „wiersz zaangażowany”. Niektórym wydawało się niejasne, o co tu chodzi. Usiłując wniknąć w intencję tego sformułowania, myślę, że chodzi o to, żeby wiersz był nie tylko szczerym wyrazem czyichś uczuć, ale żeby jednocześnie jego temat wiązał się ze sprawami ważnymi nie tylko dla autora wiersza osobiście, ale także dla innych ludzi, czyli żeby treść społecznie ważna skupiała na sobie i uczucia, i myśli zarówno twórcy wiersza, jak i tych, którzy jako odbiorcy będą na wiersz reagowali. Nie ulega wątpliwości, że autentyczna, wielka poezja — prawie każdy chyba wiersz Mickiewicza — odpowiada tym postulatam.

Osoba, osobnik

Ob. Z. Janowski z Warszawy prosi o rozstrzygającą wypowiedź na temat pojęcia *osoby* i *osobnika*. „Zgodnie z założeniami filozoficznymi —

pisze korespondent — osobą jest na ziemi tylko osoba rozumna — człowiek, *osobnikiem* natomiast można nazwać na przykład psa. Niestety terminy te są bardzo często mieszane zwłaszcza w potocznym słownictwie [...]. Nazywanie człowieka *osobnikiem* ma niemiłą, ujemny wydźwięk i jest wręcz obraźliwe”. Tu koniec cytatu. W takim ujęciu *osoby* i *osobnika* niektóre akcenty treści pojęciowej łączącej się z każdym z tych wyrazów są przeciwstawione sobie zbyt mocno. Wyraz *osoba* ma istotnie znaczenie ogólne jednostki ludzkiej, ale ponieważ jest to rzeczownik rodzaju żeńskiego, z którym się łączą orzeczenia również w rodzaju żeńskim, więc słysząc wyraz *osoba* często myślimy o kobiecie. Gdy czytamy na przykład w „Urodzie życia” Żeromskiego: „Na przeciwległej ławce siedziała młoda osoba”, nie mamy wątpliwości, że tą siedzącą osobą jest kobieta. Tak samo u Skiby (przykłady tak samo jak poprzednie cytuję z naszego nowego *Słownika języka polskiego*): „Była to osoba już przeszło czterdziestoletnia, majestatycznej postaci, piękna jeszcze”. Nie mamy takich skojarzeń, gdy wyrazu *osoba* używamy w liczbie mnogiej, na przykład: „W sali był stół na czterdzieści osób” (Krasicki), „Na odczyt przyszło kilkadziesiąt osób”, a także w wyrażeniach *osoba fizyczna*, *osoba prawna*, *osoba wysoko postawiona*, *osoba trzecia* („bez pośrednictwa osób trzecich”), *osoby dramatu* — w znaczeniu postaci występujące w utworze dramatycznym.

Wyraz *osobnik* bywa używany w znaczeniu ogólnym «jednostkowego okazu gatunku» i to nie tylko gatunku istot żywych, ale także gatunku w zakresie minerałów, jak to widać na przykład z fragmentu tekstu „Zarysu mineralogii” Andrzeja Bolewskiego: „Określenie sposobu skupienia, budowy zbiorowiska wielu osobników krystalicznych jest również pomocne w określeniu minerału”. W odniesieniu do człowieka określenie *osobnik* miewa czasem zabarwienie ujemne, co zostało odnotowane w naszym Słowniku i zilustrowane między innymi przykładem z Gomulickiego „Krają osobniki podejrzane, między którymi łącznie znaleźć się może i rzezimieszek”. Ale znaczenie ujemne może się okolicznościowo kojarzyć i z wyrazem *indywiduum*. Lucjan Rudnicki pisze na przykład w „Starem i nowem”: „Kółko mego domu zaczęło się kręcić jakies podejrzane indywiduum”. Tak samo jak *osobnik*, *indywiduum* może się czasem odnosić nie tylko do jednostek ludzkich. Władysław Szafer pisze w „Zarysie botaniki”: „Każde indywiduum roślinne tak jak każdy człowiek z osobna, rodzi się, żyje i ginie śmiercią indywidualną, przypadkową lub naturalną”. Pojęcie *jednostki* jako reprezentatywnej dla gatunku, to znaczy takiej jednostki, z jakich składa się gatunek, a więc wyposażonej w charakterystyczne znamiona gatunku, jest pojęciem bardzo ważnym, bez którego nie można się obejść; wyraz *osobnik* jako określenie odrębnej jednostki jakiegokolwiek gatunku może się zasadniczo do tej funkcji nadawać. Wszystkie wyrazy narażone są na to, że w kontekstowych, sytuacyjnych użyciach mogą nabierać specjalnych odcieni znacze-

niowych; z tym się można liczyć, ale to nie jest racja wystarczająca do tego, żeby wyrazowi *osobnik* odebrać jego podstawową, ogólną funkcję pojęciową. Nie ma nic ubliżającego człowiekowi, jeżeli ujmując go jako jedno z ogniw ewolucji gatunków określamy go terminem *osobnik*, tym samym, którym określamy jednostki innych gatunków istot żyjących, choćby nawet jakościowo innych od człowieka, różniącego się od tych innych gatunków rozumem i mową (*homo sapiens et loquens*).

Wieś Bujaków — pochodzenie nazwy

Ob. Adolf Zuber z miejscowości Kozy w województwie katowickim usiłuje zbadać pochodzenie nazwy wsi *Bujaków*, która od roku 1951 należała do województwa krakowskiego. Od roku 1327 do 1457 wieś Kozy, w której korespondent obecnie mieszka, oraz niedaleko od niej położony Bujaków, były pod panowaniem czeskim, toteż korespondent zastanawia się nad tym, czy nazwa wsi *Bujaków* nie wywodzi się z języka czeskiego, ale ponieważ zna jedno tylko znaczenie wyrazu *bujak*, mianowicie znaczenie «fotela na biegunach», więc wydaje mu się wątpliwe, żeby meble tego rodzaju były znane w Czechach już w wieku czternastym. Tego znaczenia nie musimy przyjmować za podstawę dalszych rozważań. Wyraz *bujak* jest rzeczownikiem utworzonym za pomocą przyrostka *-ak* od czasownika *bujać*, jest to więc nazwa wykonawcy czynności bujania. W zależności od tego, co może znaczyć czasownik *bujać*, różne znaczenia mogą mieć nazwy istot lub rzeczy, które tę czynność wykonują. *Bujak* jako nazwa foteli na biegunach odnosi się do tego, co się na tych biegunach może bujać, kołysać. To jest tylko jeden ze szczegółowych wypadków określenia czegoś, co buja. *Bujakiem* albo *bujanem* nazywany bywa w gwarach na wschód od Wisły i Sanu byk i to znaczenie może się łączyć z bujaniem zwierzęcia po otwartej przestrzeni pól, łąk (albo z przymiotnikiem *bujny*, por. „Słowo o pułku Igora”: *Buj-Tur*). Czasownik *bujać* miał zresztą w historii języka polskiego, a częściowo jeszcze ma, różne znaczenia, widoczne w takich zwrotach, jak *skowronki bujają w powietrzu*, *bujać w obłokach*, *bujać* «błagować». W tekście „Kazań Świętokrzyskich” *bujać* znaczy «unosić się pychą». Znaczenie ujemne w tym czasowniku rejestruje jeszcze Linde, który tłumaczy *bujać* «wzbijać się nad okresy zwyczajne umiarkowania, szczególnie na złą stronę». Znaczenie ujemne przetrwało w wyrazie rosyjskim *bujan* «awanturnik». Nazwa wsi *Bujaków* łączy się najprawdopodobniej z *Bujakiem* nazwiskiem, którego historycznym punktem wyjścia mogło być przezwisko, jak w wypadku nazwiska *Tur*. Jest to właściwie najstarszy typ nazwisk polskich; gdyby się uważało dawność za arystokratyczność, to byłyby one bardziej arystokratyczne od form czasem sztucznie rozszerzanych za pomocą przyrostka *-ski* albo *-owski* jako rzekomego znamienia szlachectwa.

Czy uczyć się języków obcych?

Uczeń klasy drugiej Liceum Ogólnokształcącego w Gdyni, Waldemar Zalesiak, uważa, że jest przeciążony nauką języków obcych i nawet dostrzega u siebie w związku z tym przeciążeniem coraz większe trudności w wysławianiu się w języku polskim. Byłby to rzeczywiście objaw fatalny i zatrważający, który by wymagał poważnego zastanowienia się nad tym, co dalej robić: czy studiować języki obce, narażając się na osłabienie swojej sprawności w posługiwaniu się językiem ojczystym, czy dać spokój językom obcym, żeby nie szkodzić własnemu. Mam nadzieję, że takiego ostrego konfliktu naprawdę nie ma. „Z powodu wielkiego zainteresowania lingwistyką, pisze korespondent, zdarzają się takie momenty, że po prostu zaczynam myśleć czy to po rosyjsku, czy po angielsku”. Takie przygodne wykołajenia nie są chyba niebezpieczne, muszą być rzadkie i krótkotrwałe. Polacy na obczyźnie nawet narażeni na wieloletnie oddziaływanie innych języków niż polski — angielskiego w Stanach Zjednoczonych, francuskiego we Francji, niemieckiego w Niemczech — wykazują znaczną odporność na wpływy obce i dopiero w drugim, trzecim pokoleniu wpływy te mocniej się odbijają. Jest więc bardzo mało prawdopodobne, żeby Polakowi zamieszkałemu w Polsce mogły zaszkodzić w sprawnym władaniu językiem ojczystym lekcje języków obcych, tym bardziej jeżeli uczący się tych języków dba o język własny. Co do tego, gdzie można szukać odpowiedzi na wątpliwości w sprawach językowych, wymienić mogę książki następujące: nowy *Słownik języka polskiego* pod moją redakcją, który jest zasadniczo słownikiem normatywnym i Stanisława Szobera *Słownik poprawnej polszczyzny* (wydanie powojenne), książkę profesora Stanisława Urbańczyka „Polszczyzna piękna i poprawna” oraz moją „O kulturę słowa”, której tom pierwszy ukazał się w roku 1962, tom drugi w 1968. Tom drugi stanowi całość niezależną od tomu pierwszego, zawiera inny materiał, ułożony według tych samych zasad podziału co materiał zawarty w tomie pierwszym.

Mi, mnie

Pytania szczegółowe tegoż korespondenta: *powiedz mi czy powiedz mnie?* — *Powiedz mi*, jeżeli mówiący nie chce położyć nacisku na to, żeby tego, o co chodzi, nie powiedzieć komu innemu, jeżeli natomiast właśnie chce zaakcentować, to *powiedz mnie* (np.: *powiedz mnie, tylko mnie, a nie mów innym*). Forma *mi* jest formą tak zwaną enklityczną, to znaczy nie mającą na sobie akcentu, przyłączaną pod względem akcentowym do wyrazu poprzedzającego. Dlatego — wbrew temu, co sądzi korespondent — *mi nie jest źle* jest zwrotem bardzo nieudanym. Można powiedzieć tylko *mnie nie jest źle*, bo od nie akcentowanego *mi* nie może się zaczynać ani zdanie, ani wiersz w poezji. W pewnym przedwojennym tłumaczeniu

„Odysei” Homera można było przeczytać: „Azali (to był końcowy wyraz wiersza) Mi (tu się zaczynał nowy wiersz) szpetnie z tym będzie do twarzy?”. Tłumacz czuł się dotknięty krytycznymi uwagami na temat tego zdania, ale nie miał racji, bo nie tylko *mi* było rażące. Z czymś może być komuś do twarzy albo nie do twarzy, ale nie może być szpetnie ani pięknie do twarzy.

Ta strona — w tę stronę

Ob. Józef Chowaniec z Bytomia protestuje przeciwko używaniu w funkcji biernika formy *tą* zamiast *tę*; słyszy się nawet w przemówieniach nadawanych przez radio: *zobaczyć tą stronę, przyjąć tą pracę, zapowiedziałem tą audycję*. Mówią tak dziennikarze, lekarze, spikerzy, inżynierowie. Korespondenta to razi. — Niektórzy są zdania, że różnica między formą poprawną a formą błędną jest statystyczna: forma często używana przestaje być błędem. Trudno bez zastrzeżeń uznać taką zasadę, z której mogłoby wynikać, że gramatyki w ogóle nie warto uczyć. Dopóki gramatyki i wydawnictwa poprawnościowe określają formę *tę* jako właściwą, dopóty do zawodowych obowiązków gramatyka należy *tę* właśnie formę wymieniać, gdy ktoś pyta o biernik zaimka żeńskiego *ta*. Nie jest ostatecznie tak trudno zapamiętać, że zaimek wskazujący w bierniku rodzaju żeńskiego liczby pojedynczej ma formę *tę*, a nie *tą*. Dotyczy to co prawda zaimka *ten*, ale nie zaimka *tamten*, bo mówimy i piszemy tylko w *tamtą stronę*, a nie w *tamtę*. Łatwo zrozumieć, że rzecz sama w sobie jest drobna, ale to powinno ułatwiać zapamiętanie reguły. Trudno, żeby gramatyk uważał za swój główny obowiązek wypatrywanie miejsc, w których mu wypada ustępować szerzącemu się zwyczajowi lub w modzie w myśl zasady: „kto zna dobrze głos natury, ten wietrzy zawsze wiatru z góry”, jak mówi Boy w „Słówkach”. Gramatyk powinien w rozsądnych granicach brać na siebie ryzyko odpowiedzialności. Historia może mu czasem nie przyznać racji, ale to go jeszcze nie dyskwalifikuje: ze względu na tę możliwość powinien wkładać jak najwięcej pracy w formułowanie zasad rozsądnych i trafnych, mając świadomość tego, że gramatyka, która się opiera w zasadzie na znajomości historii języka, jest jednocześnie nauką pedagogiczną.

Obsługa przez personel?

Redaktor nieczytelnie piszący swoje nazwisko zwraca uwagę na napis, który się widuje w warszawskich trolejbusach i autobusach: „obsługa drzwi przez personel”. W tym napisie szczególnie razi korespondenta wyraz *przez*, chociaż właściwie nie ten wyraz najbardziej zastanawia: jeżeli używamy w języku polskim strony biernej, a podmiotem działającym ma być osoba, to stosujemy konstrukcję z przyimkiem *przez*, jak

np. w zdaniach: „Myśliwy zabił dzika” — „Dzik został zabity przez myśliwego”. Wyraz *obsługa*, jak wszystkie rzeczowniki tego typu słowotwórczego, ma dwa znaczenia: albo podmiotowe, albo orzeczeniowe, albo znaczy czynność obsługiwania, np. „Gospodyni [...] poinformowała nas, że za obsługę płaci się oddzielnie” (Meissner), albo osoby obsługujące: „Jeden z pocisków poradził ciężko obsługę” [działa] — Żukrowski. W formie strony czynnej powiemy: „Drzwi obsługuje personel”, w stronie biernej: „Drzwi są obsługiwane przez personel”. Przyimek *przez* jest w tym zdaniu na miejscu, toteż w tekście napisu „Obsługa drzwi przez personel” składniowego, gramatycznego błędu nie ma. Mimo to stylizacja napisu nie jest najlepsza; o tej ocenie decydują względy nie gramatyczne, ale społeczne. Co znaczy zacytowane zdanie? — to, że drzwi są obsługiwane przez personel, ale intencją napisu jest nie tyle poinformowanie o tym pasażerów, ile ostrzeżenie ich, że nie powinni sami drzwi otwierać i tę treść napis powinien uwydatnić. Należałoby więc napisać: „Otwieranie i zamykanie drzwi należy tylko do personelu”. Tekst napisu byłby trochę dłuższy, można by było zresztą sformułować go jakoś inaczej, najważniejszą rzeczą jest to, żeby w każdym wypadku, gdy się chce coś komuś zakomunikować, jasno sobie uświadamiać treść tego, co się ma na myśli. W tym zakresie tzw. środki masowego przekazu powinny mieć dodatni wpływ — a niestety często go nie mają — na kształtowanie się dobrych nawyków stylistycznych i to jest racja, dla której warto dbać o język ogłoszeń publicznych. W Pałacu Staszica w Warszawie na drzwiach windy umieszczona jest informacja: „Dźwig wyłącznie czteroosobowy”. Wynikałoby z tej informacji, że inna liczba osób niż cztery nie może windą jechać, naprawdę zaś chodzi o to, że liczba osób jadących windą nie może przekraczać czterech i tę treść napis powinien przekazywać tym, którzy mają zamiar korzystać z windy. Sens zastanawiania się nad wszelkimi wypowiedziami jest praktyczny, społeczny.

Być proszonym

Korespondenta razi — tak samo jak inż. Czesława Z. z Oświęcimia — używanie form strony biernej w takich zdaniach jak: „Obywatel ten a ten proszony jest do telefonu”. — O tym już kiedyś mówiłem i pisałem. Nie trzeba przesadzać w dążeniu do unikania konstrukcji ze stroną bierną w języku polskim. Gdy się obwieszcza przez megafon na dworcu: „Obywatel ten a ten jest proszony do telefonu” czy „do biura zawiadowcy”, to dzięki konstrukcji biernej tej wypowiedzi nazwisko osoby, której sprawa dotyczy, zostaje wysunięte na czoło i wymienione w formie mianownika, a to jest wygodne i nie grozi nieporozumieniem. Inż. Zieliński uważa, że w poprawnym języku polskim strony biernej można używać tylko w czasie przyszłym lub przeszłym, jeżeli mowa o czynności dokonanej, np. „on będzie zaproszony”, „on został zaproszony” i że nawet Niemcy po-

sługują się w stronie biernej czasem przyszłym: „er wird gebeten”. To nie jest ściśle. Konstrukcja *wird gebeten* nie oznacza w języku niemieckim czasu przyszłego, ale czas teraźniejszy w stronie biernej. A co do form polskich, to jeżeli można użyć imiesłowu biernego w czasie przyszłym, to nic nie stoi na przeszkodzie używaniu go również w niektórych wypadkach w czasie teraźniejszym.

Droga zakopiańska

Korespondent pisze między innymi: „nikt nie powie twardo *droga zakopańska*, lecz miękko: *droga zakopiańska*”; w imię, jak to określa, zachowywania miękkości w wymowie wyrazów pochodnych, opowiada się za formą *kwiaciarnia* wbrew Warszawie, która „wprowadziła swoje w *kwiaciarni*”. Co do formy przymiotnikowej *zakopański*, to był taki warszawianin, który tę formę uważał za jedynie poprawną. Tym warszawianinem był znany gramatyk, Adam Antoni Kryński, który w swoim czasie ogłosił nawet pracę pod tytułem „Gwara zakopańska”. Na podstawie reguł gramatycznych łatwo tę formę uzasadnić: jeżeli do formy *Zakopane* dodajemy przyrostek *-ski*, to nie ma żadnej racji, dla której w powstającym w ten sposób przymiotniku miałyby ulegać zmiękczeniu nie tylko przedsufiksalne *n*, ale i *p* w środku wyrazu; mówimy np. *wielkopański*, nie *wielkopiański*. Forma *zakopiański* z pochodzenia swego jest gwarowa. Jej punktem wyjścia była nazwa mieszkańca Zakopanego, którą się słyszy na Podhalu w formie *zakopian*, skróconej z *zakopianin* (bez przyrostka *-in*, tak samo jak w nazwach *poronian*, *bukowian*, *białczan* — mieszkańiec Poronina, Bukowiny, Białki). Promieniowanie Podhala spowodowało, że forma *zakopiański* rozpowszechniła się i utrwaliła w języku literackim. Co do formy *kwiaciarnia*, to istotnie pod względem historyczno-fonetycznym jest ona mniej uzasadniona niż *kwiaciarnia*, ale to samo można by było powiedzieć o takich formach, jak *na sianie*, *żonie*, *siostrze*, które powinny byłyby brzmieć *na sienie* (por. *po obiedzie*, *na świecie*), *żenie*, *siostrze* i tak kiedyś brzmiały, ale znikły z języka pod wpływem dążności do ujednostajniania tematów wyrazowych. W całej odmianie wyrazów *siano*, *żona*, *siostra* samogłoska tematowa nie ulega dziś wymianom. Poniechaniem reguł „gry fonetycznej” wymagających wymawiania samogłoski *a* przez spółgłoską twardą, *e* przed miękką tłumaczy się forma *kwiaciarnia* kojarząca się z tą formą tematu wyrazowego *kwiat*, która występuje w mianowniku i wszystkich przypadkach zależnych z wyjątkiem miejscownika *kwiecie*.

W. D.

SLAVIA ORIENTALIS

KOMITET SŁOWIANOZNAWSTWA PAN

Kwartalnik

Prenumerata roczna 120 zł.

**Redakcja: Warszawa, Pałac Kultury i Nauki, p. XIX,
tel. 20-02-11, w. 2177**

Zamieszcza

rozprawy, prace, artykuły, materiały źródłowe, recenzje i sprawozdania naukowe poświęcone historii literatury, językoznawstwu, dziejom i kulturze narodów słowiańskich Związku Radzieckiego.

Szczególną uwagę zwraca

na stosunki literackie, kulturalne i językowe między narodami rosyjskim, ukraińskim i białoruskim oraz narodem polskim i innymi narodami słowiańskimi.

Czasopismo przeznaczone

dla pracowników naukowych i studentów filologii słowiańskiej oraz dla wszystkich interesujących się problemami słowiańszczyzny wschodniej.

WARUNKI PRENUMERATY CZASOPISMA

PORADNIK JĘZYKOWY

miesięcznik

Cena prenumeraty krajowej:

I półrocze zł 36.—

II półrocze zł 24.—

Prenumeraty przyjmowane są do 10 dnia miesiąca poprzedzającego okres prenumeraty.

Prenumeratę na kraj dla czytelników indywidualnych przyjmują urzędy pocztowe i listonosze. Czytelnicy indywidualni mogą dokonywać wpłat również na konto PKO Nr 1-6-100020 Centrala Kolportażu Prasy i Wydawnictw „Ruch”. Warszawa, ul. Wronia 23.

Wszystkie instytucje państwowe i społeczne mogą zamawiać prenumeratę wyłącznie za pośrednictwem oddziałów i delegatur „Ruchu”. Prenumeratę ze zleceniem wysyłki za granicę, która jest o 40% droższa od krajowej, przyjmuje Biuro Kolportażu Wydawnictw Zagranicznych „Ruch”, Warszawa, ul. Wronia 23, konto PKO Nr 1-6-100024, tel. 20-46-88.

Egzemplarze zdezaktualizowane można nabyć w Punkcie Wysyłkowym Prasy Archiwalnej „Ruch”, Warszawa, ul. Nowomlejska 15/17, konto PKO nr 114-6-700041 VII O/M.

Bieżące oraz archiwalne numery można nabyć lub zamówić we Wzorcowni Wydawnictw Naukowych Pan-Ossolineum-PWN, Warszawa, Pałac Kultury i Nauki oraz w księgarniach „Domu Książki”.

**TYLKO PRENUMERATA ZAPEWNIĄ REGULARNE OTRZYMYWANIE
CZASOPISMA**

Por. Jęz. z. 7(282), s. 425—496; Warszawa 1970

Indeks 37140